# WEGA

nieregularnik nr 7/2018

## BIULETYN WIELKIEJ ENCYKLOPEDII GÓR I ALPINIZMU

## OD REDAKCJI

Głównymi tematami historycznymi tego biuletynu są rocznice zdobycia Piku Komunizmu (85.) oraz pierwszego przejścia *Wariantu R na Mnichu* (63.). Zamieszczamy również, jak zwykle, uzupełnienia opisów paru wydarzeń, o których przypomnieliśmy w poprzednich numerach. Oprócz tego Michał Kochańczyk szczegółowo opisał historię powstania monumentu „Korona Himalajów" we Władysławowie, a z artykułu Tomasza Boruckiego dowiemy się, „skąd się wzięły morskie oka w górach?". W suplemencie WEGI przedstawiamy nowych Wegantów, a na koniec, w dziale Z naszych kolekcji, prezentujemy trzy historyczne plakaty z Matterhornem.

Przy okazji przypominania ważnych rocznic zamieszczamy, w miarę możliwości, dokumentację tych wydarzeń. Prezentowane materiały (fragmenty książek, artykuły itp.) są z pewnością dobrze znane czytelnikom ze starszego pokolenia, ale może mogą mieć znaczenie dla młodszych koleżanek i kolegów, nieznających już tych, często trudno dostępnych, wydawnictw.

Biuletyn jest publikacją niekomercyjną, związaną z *Wielką Encyklopedią Gór i Alpinizmu*. Jeśli to możliwe, staramy się docierać do twórców ilustracji czy fotografii, prezentowanych na jego łamach, podajemy również nazwiska autorów, z którymi nie mamy kontaktu. Zdarza się jednak, że zamieszczamy ilustracje, których autorów nie znamy i w takich przypadkach staramy się, oczywiście, ustalić ich nazwiska, choć nie zawsze się to udaje. Prosimy o pomoc w tych sprawach.

Niezmiennie zapraszamy do podzielenia się na stronach biuletynu swoimi wspomnieniami. W tym numerze robią to Piotr Paćkowski i Jacek Wiltosiński. Chętnie zamieścimy też uzupełnienia publikowanych materiałów.

Wszystkie numery biuletynu WEGA zawsze można „ściągnąć" ze strony www.stapis.com.pl

Mamy nadzieję, że w ostatni weekend września (tzn. 29-30.09.2018) będzie piękna pogoda i znów spotkamy się w Skałkach Rzędkowickich.

*Małgorzata i Jan Kiełkowscy*
mjkmountains@aol.com
mjkmountains@googlemail.com

# RZECZY WIELKIE I MAŁE W ALPINIZMIE

## Murań został zdobyty ponad 300 lat temu, nie ponad 200; uzupełnienie biuletynu nr 4/2018

Mamy wreszcie dobre fotografie Murania – pierwsza, ze ścianą pd.-zachodnią, autorstwa K. Celby lub B. Straki pochodzi z ich albumu *Tatry*, a następną, kolorową, zrobioną od północy, z Suchego Wierchu w pasmie Magury Spiskiej, przysłał Jacek Wiltosiński.

Pd-zachodnia ściana Murania, widok z Polany pod Muraniem. Fot. T. Borucki

Zdjęcie zamieszczone w numerze 4 biuletynu (jako Murań), które znawcy terenu zidentyfikowali jako „dolną część Białej Ściany w Starej Jaworzynce, widoczną z drogi nad Podspadami"

Murań w Tatrach o wschodzie słońca – obraz Józefa Marczewskiego z 1867 roku

# Ponad 150 lat temu zdobyto Piz Badile (Biuletyn 2018, nr 5), uzupełnienie

W numerze piątym biuletynu napisaliśmy: W wydanym w 1966 roku tomie IV przewodnika po Alpach Bündnerskich nie ma swego numeru i nie jest opisana. Dodajemy tutaj, że wejście pierwszych zdobywców zostało podczepione tam pod drogę nr 131d (tego 1. przejścia mieli dokonać 9.08.1880 F. Lurani i A. Baroni, z dopiskiem, że prawdopodobnie tak samo szli też pierwsi zdobywcy góry).

Rafał Kardaś, niewątpliwie najlepszy w Polsce znawca rejonu Piz Badile, nadesłał nam następujące notatki:

*Przesyłam informacje w sprawie P. Badile. Obecne wydania "Alpinfuhrer Bundner Alpen 4. Sudliches Bergell - Disgrazia", Ruedi Meier, Peter Alig, SAC 2006, 6. Auflage (poprzednie również), podają, że pierwsze wejście odbyło się drogą normalną od Gianetti (używaną obecnie głównie do zejścia). Załączam skany opisu.*
*Przesyłam też skany stron, dotyczących pierwszego wejścia, z książki "Badile. Kathedrale aus Granit", red. Marco Volken, AS Verlag & Buchkonzept AG, Zurich 2006.*

*Oprócz skanów dotyczących pierwszego wejścia (poprzedni list) przesyłam również ulotkę zeszłorocznych obchodów związanych z Badile 3 jubileuszy. Była w Bondo okolicznościowa wystawa. Na same obchody niestety się spóźniliśmy, za to byłem na miejscu w czasie wielkiego obrywu z Cengalo. Obserwowaliśmy wstępne obrywy, a następnie byliśmy ewakuowani z kempingu w Bondo.*

Z tego przewodnika zamieszczamy dalej zdjęcie z drogą (nr 888) pierwszego wejścia oraz dwie strony z książki M. Volkena z krótką historią zdobycia szczytu, a na końcu wspomnianą przez Rafała ulotkę rocznicową.

Z książki Marco Volkena dowiedzieliśmy się, że Piz Badile pierwotnie nosił nazwę Cima di Tschingel, czyli nazwany był imieniem naszej Wegantki (patrz WEGA t. VI, str. 779). Chętnie dowiedzielibyśmy się kto i kiedy nazwał tak tę górę (możemy się tylko domyślać, że uczynił to sam zdobywca szczytu W. A. B. Coolidge), jak również kto i kiedy przemianował ją na Piz Badile?

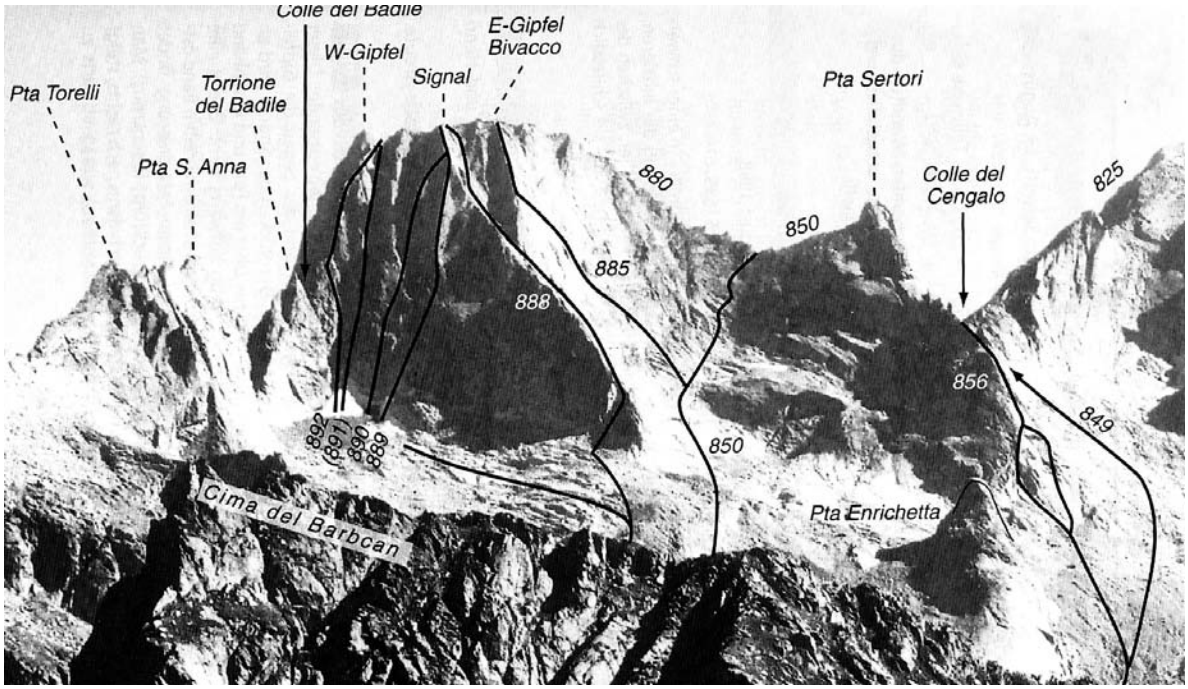

## Badile

Der Badile hat die Form eines massiven Trapezes. Mitten auf der Frontseite, die dem Valle Porcellizzo zugewandt ist, sieht man einen im unteren Teil ziemlich ausgeprägten Grat, der in Gipfelnähe verschwindet und sich mit den Gratplatten vereinigt, die wie eine Mauer aussehen. Dieser Grat teilt das Felsmassiv des Badile in zwei aneinander grenzende Vorderseiten oder besser gesagt zwei Seiten, die gegeneinander geneigt den Grat bilden und sich an ihren Kanten in ihm vereinigen. Um 10 Uhr waren wir am Fuss dieses Grates, der sehr weit nach Süden in den Gletscher hineinragt.

Baroni stieg energisch von Westen über ein sehr markantes Felsband hinauf, und in wenigen Minuten waren wir auf dem Gratrücken.

Zwanzig Minuten stiegen wir den Grat entlang, hielten uns jedoch etwas rechts unterhalb. Wir mussten auf allen vieren unter einem vorstehenden Felsen hindurchkriechen. Danach war es unmöglich, weiterzugehen, ohne auf den Gratrücken zurückzukehren, und die einzige Möglichkeit, dorthin zu gelangen, war ein richtiger Kamin, den wir hochkletterten, indem wir uns mit den Ellbogen, den Knien und dem Rücken im Fels verspreizten. Kurz darauf mussten wir den Grat wieder verlassen, und ein Sims leitete uns nach rechts in eine Zone abschüssiger Platten, auf denen man sich nur wie eine Echse kriechend fortbewegen konnte, die sich aber mit bequemen Felsbändern abwechselten, die wir hier nie erwartet hätten. Ein gurgelndes Bächlein, das Schmelzwasser der letzten Schneereste, ergoss sich über diese Felsen, mal als kleiner Wasserfall, mal sich über die Platten ausbreitend wie ein breiter Schleier; das war zwar erfrischend für unsere ausgetrockneten Kehlen, aber es zwang uns auch zu ständiger Vorsicht, weil manchmal mit dem harmlos anmutenden Wasser auch kleine Geröllmassen abgehen …

Über eine Stunde schon dauerte die unentwegte Turnerei, und mich beun-

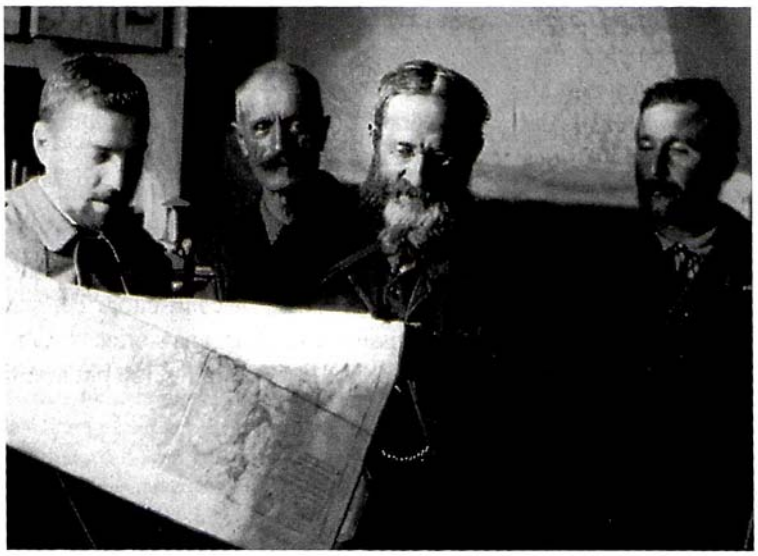

*Fig. 11: Panorama dal P.° Porcellizzo (3076)*

**Experten: Giorgio Sinigaglia, Antonio Baroni, W. A. B. Coolidge und Christian Almer. Wer der beiden Mittleren hat die Normalroute erfunden, die dem – in der Skizze von Lurani deutlich erkennbaren nach rechts abfallenden – Südgrat folgt? Entscheidend sind die ersten 60 Meter (rechte Seite oben): Die Normalroute steigt von links über die besonnte Schneezunge und Felsplatten auf die Gratschulter. Das machte Coolidge 1867 vermutlich; Minnigerode 1879 sicher nicht; Baroni 1880 ganz sicher. Was alle machten: In der Morgendämmerung durch das Valle Porcellizzo aufsteigen (rechte Seite unten).**

**Nachbarn: Blick vom Badile auf seinen und des Cengalos Schatten. Unter dem Nebelmeer das Bergell.**

ruhigte immer noch der Zweifel, wir könnten durch irgendein unüberwindliches Hindernis zum Rückzug gezwungen werden. Keine Spur von der Rinne, die Minnigerode beschrieben hatte! Baronis Entdeckung eines halb verkohlten Schwefelhölzchens erfüllte uns mit Freude: eine Pfeife, ein Bergführer war hier vorbeigekommen! Noch ein paar Schritte, und der Nebel über unseren Köpfen riss auf, gegen den blauen Himmel zeichnete sich die oberste Felskrone ab, die mit Neuschnee weiss überzuckert war. Um 11.45 Uhr lagen die Schwierigkeiten hinter uns, und Baroni stiess beim Anblick des Hotels von Promontogno einen durchdringenden Triumphschrei aus – Ohi de Bond! –, der sich im unermesslichen Abgrund des Val Bondasca verlor.

Der Gipfel des Badile besteht aus einem etwa 200 Meter langen Grat. Die Höhenangabe von 3307 Metern im Schweizer Atlas scheint sich auf den Felsturm am westlichen Ende des Grates zu beziehen, der bisher noch nicht erreicht wurde. Der Gipfel, den wir erstiegen, liegt etwa auf der Hälfte des Grates. Auf ihm befindet sich ein kleiner Steinmann mit den Karten von Minnigerode und den Tauschers in einem kleinen Etui. Ein weiteres Signal mit einer Flasche, in der dieselben Namen aufbewahrt sind, steht an dem Punkt, an dem man den Grat erreicht, wenige Meter unterhalb des Gipfels; das ist der einzige Ort, an dem man halbwegs bequem verweilen kann.

Das Panorama muss dem des Cengalo ähnlich sein, aber ich konnte wegen des ungünstigen Wetters keine Vergleiche anstellen. Doch war ich über unseren Erfolg so begeistert, dass mich dieser kleine Zwischenfall nicht gross enttäuschte!

Als wir auf dem Abstieg am Ende des Kamins angelangt waren und uns genau umschauten, konnten wir endlich unter uns die Rinne erkennen, von der Minnigerode berichtet hatte. Sie befindet sich in der Südostseite des Gipfels und somit weiter östlich der von uns verfolgten Route. [...]

Die Kletterei an den Felsen des Badile gehört zu den markantesten Alpenfahrten, und der Cengalo muss wegen seines herrlichen Panoramas genannt werden. Beide verdienten von den Mitgliedern des italienischen Alpenvereins grössere Aufmerksamkeit, als das bisher der Fall war, denn man wird für die Mühen des Aufstiegs reich belohnt. Sollten meine Zeilen dazu beitragen, dass einige dies selbst ausprobieren, so hoffe ich, dass sie mir dafür dankbar sein werden!

aus: «Le montagne di Val Màsino», 1883

Francesco Lurani Cernuschi

Antonio Baroni

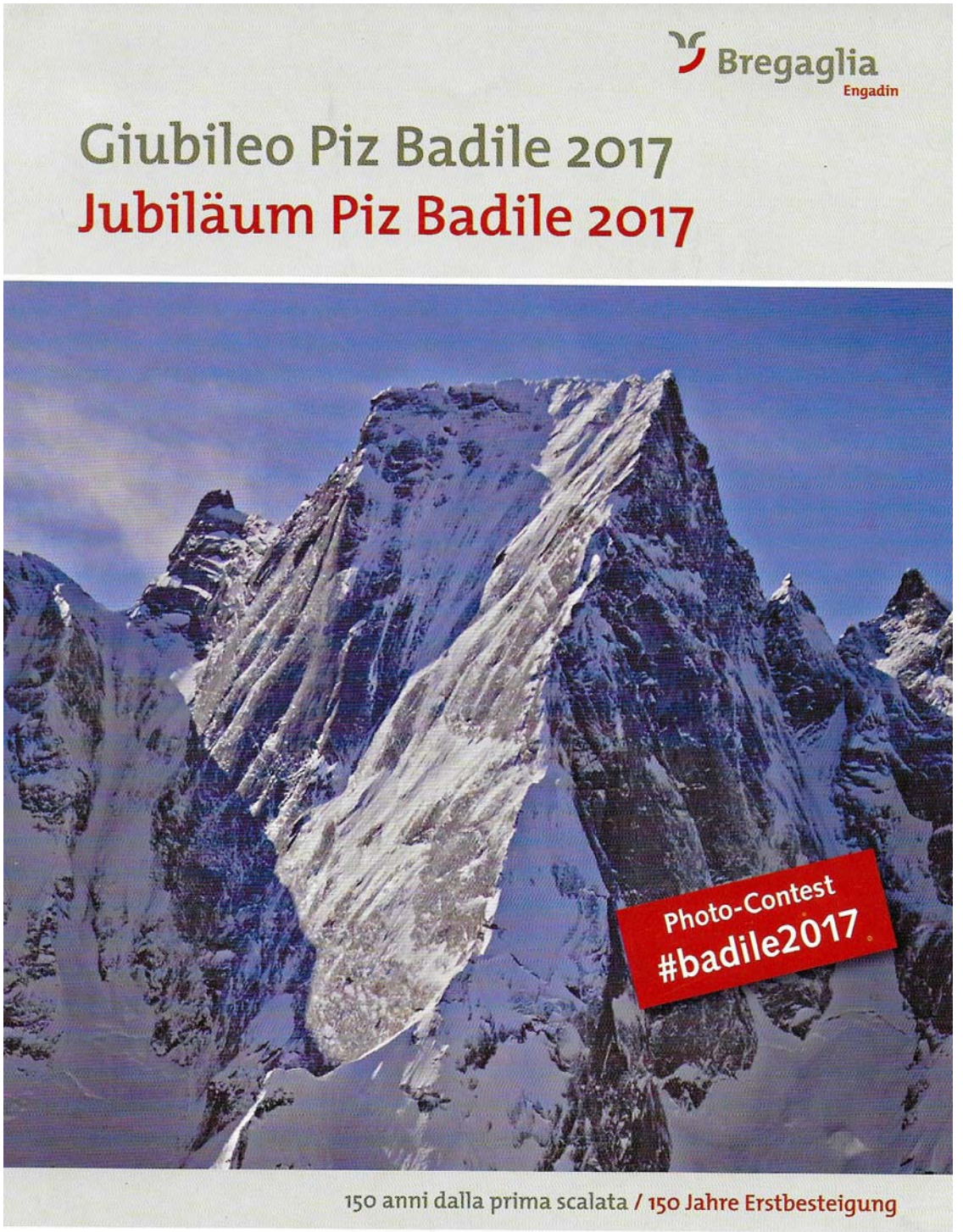
Bregaglia
Engadin
Giubileo Piz Badile 2017
Jubiläum Piz Badile 2017
Photo-Contest
#badile2017
150 anni dalla prima scalata / 150 Jahre Erstbesteigung
CAS
Sezione Bregaglia
BERGSTEIGERSCHULE
graubünden

# 90 rocznica zdobycia Piku Lenina – uzupełnienia

Ponieważ do następnego artykułu, o Piku Komunizmu, wprowadziliśmy zestawienie wejść Polaków na ten szczyt, uzupełniamy również polskimi wejściami wcześniejszy artykuł o Piku Lenina.

**Polacy na Piku Lenina**

1. polskie wejście: 17.08.1937 Stanisław Hanecki z alpinistami radzieckimi. Jeśli uznamy polskość Haneckiego;
2. polskie wejście: 14.08.1967 Eugeniusz Chrobak, Ryszard Szafirski, Adam Zyzak:
3. polskie wejście: 14.08.1967 Stanisław Biel, Piotr Młotecki, Andrzej Sobolewski;
4. polskie wejście: 16.08.1967 Zbigniew Staszyczyn;
5. polskie wejście: 2.08.1969 Jerzy Milewski, Piotr Młotecki, Andrzej Sobolewski;
6. polskie (1. kobiece) wejście: 27.07.1970 Wojciech Brański, Andrzej Gardas, Piotr Misiurewicz, Kazimierz Olech, Józef Olszewski, Andrzej Pietraszek, Zbigniew Rubinowski, Zofia Szajuk;
7. polskie (2. kobiece) wejście: 10.08.1970 Wanda Błaszkiewicz-Rutkiewicz, Jan Franczuk, Bogdan Jankowski, Wojciech Jedliński, Jan Kiełkowski, Halina Krüger, Tadeusz Łaukajtys, Andrzej Zawada;
8. polskie wejście: 26.07.1975 Andrzej Czok, Michał Jagiełło, Stanisław Kuliński, Piotr Malinowski, Andrzej Marczak, Wojciech Wróż;
9. polskie wejście: 2.VIII.1975 Jan Wolf;
10. polskie wejście: 31.07.1978 Jerzy Dudała;
11. polskie wejście: przełom 08/09.1978 Janusz Mikołajczyk, Maciej Pawlikowski, Zbigniew Terlikowski;
12. polskie wejście: 2.08.1978 Jacek Krókowski, Jan Łosoń, Jacek Wiltosiński;
13. polskie (3. kobiece) wejście: 1978 Andrzej Hartman, Bożena Hartman (-Momatiuk), Jacek Luniak, Marek Łukaszewski.
14. polskie wejście: 1978 Franciszek Spytek (1.polski zjazd ze szczytu na nartach);
15. polskie wejście: 1978 Andrzej Bieluń, Jerzy Tillak;
16. polskie wejście: 13.08.1979 Piotr Kalmus, Jan Serafin;
17. polskie wejście: 14.08.1979 Jan Jaworski;
18. polskie (4.kobiece) wejście: 2.08.1986 Amelia Kapłoniak;
19. polskie (5.kobiece) wejście: 30.07.1989 Jacek Berbeka, Jacek Bilski, Krzysztof Liszewski, Aleksander Lwow, Bogdan Stefko, Marta Szlamka, Mieczysław Ziach;
20. polskie (6. kobiece) wejście: 07.1991 K. Berbeka, K. Garduła, T. Kalicki, B. Skawińska, A.Sosnal, Zbigniew Szymborski, Karol Życzkowski;
21. polskie wejście: 24.09.1992 Borsuk, Andrzej Kozłowski, Jacek Majchrzak;
22. polskie wejście: 8.08.1996 Tomasz Swinarski;
23. polskie wejście: 2003 Dominik Zadęcki.

Jacek Wiltosiński przysłał swoje osobiste wspomnienia (ze zdjęciami) z wejścia na szczyt w 1978 roku. Oto jego krótkie migawki z wyprawy na Pik Lenina

**PIK LENINA - 1978 ROK**

Nasza przewodniczka Marina była po rozmowie z tajniakami, którzy zatrzymali mnie przed Kremlowskim Murem Zasłużonych, i poirytowana mówiła: Jacek, nie możesz bez zgody składać wiązanki kwiatów pod murem Kremla. Jeśli chcesz podejść z kwiatami do tablicy marszałka Rokossowskiego, to ja muszę to uzgodnić. Powiadasz, że Rokossowski mianował na stopień oficerski twojego ojca i to jego prośba...

Posiłki w bazie Aczik Tasz były obfite, ale bez warzyw. Któregoś dnia ciężarówki przywiozły kilka ton warzyw. Każdy mógł coś wybrać. Wyszukałem z kopców kilogram dobrych warzyw, ale musiałem potwierdzić

podpisem odbiór 100 kilogramów. Na pytanie, skąd taka ilość, powiedziano mi, że jest potrzebna bumaszka na zgniłe i zniszczone w transporcie warzywa...

W bazie postawiono wojskowe prysznice. Problemem były długie kolejki spragnionych kąpieli alpinistów. Znudzone długim oczekiwaniem nasze alpinistki Ańka Ł., Bożena H. i Maria F. dzielnie wdarły się do kabiny i ku radości obecnych tam panów, cieszyły się pełną ablucją kąpielową.

Namiotem używanym podczas wyjścia szczytowego był jednopowłokowy Mikrus. W wysokich obozach trzepoczący na wietrze ortalion strasznie się elektryzował. Iskry skakały w środku jak w maszynie elektrostatycznej, zakłócały pracę radiotelefonu. Zrobiliśmy uziemienie namiotu do skały, zadziałało...

Wykończony torowaniem Dudała poprosił Łukaszewskiego, by mu dał lodu do possania. Wsadził podany kawałek do ust, ale lód nie chciał się rozpuścić. Marek dał mu kamień.

Dudała schodził szczęśliwy z Piku Lenina. Spotkani radzieccy alpiniści wątpili, że tak szybko dotarł do szczytu. Jurek powiedział, że zostawił w puszce kartkę z swoim nazwiskiem. Na to odpowiedziano mu: Oj, ty durak, niet puszki (ros. nie ma żadnej armaty) na wierszynie.

Na wierzchołku Piku Lenina były figury W. I. Lenina. Pomyślałem, że zamiast zwyczajowego kamyka ze szczytu, wezmę sobie malutkiego Lenina. Niestety wszystkie były duże i zbyt ciężkie, a niektóre nawet czymś kotwione w śniegu.

Radzieccy nosili jako buty wysokościowe to, co my nazywaliśmy walonkami. Oburzali się na taką nazwę i mówili, że te ich buty wysokościowe to szekeltony.

Schodząc z szczytu Piku Lenina, Krókowski z obozu IV połączył się radiotelefonem z bazą. Po chwili rozmowy zakomunikował nam, że nie mamy zgody kierownictwa Międzynarodowego Obozu Alpinistycznego na wyjście szczytowe. Skutkiem tego, nasze wejście na szczyt nie będzie uznane.

Kilka godzin przed odjazdem z Moskwy przybiegła do mnie przewodniczka Marina. Powiedziała: jest zgoda, zbieraj się na Kreml złożyć kwiaty pod tablicą Rokossowskiego. Zacząłem kręcić, gdzie ja teraz kupię kwiaty. Na to Marina, że wszystko przygotowane, auto czeka przed naszym hotelem (Rossija, a co !!!). Czarną Czajką podwieziono mnie pod mur kremlowski, dwóch żołnierzy czekało z wieńcem. Podeszliśmy razem pod tablicę Rokossowskiego. Wszystko odbyło się jak trzeba, tylko zwrot do tyłu zrobiłem przez prawe ramię.

*Jacek Wiltosiński*

Uczestnicy różnych grup wyprawowych na Pik Lenina w 1978 roku przed dworcem w Moskwie

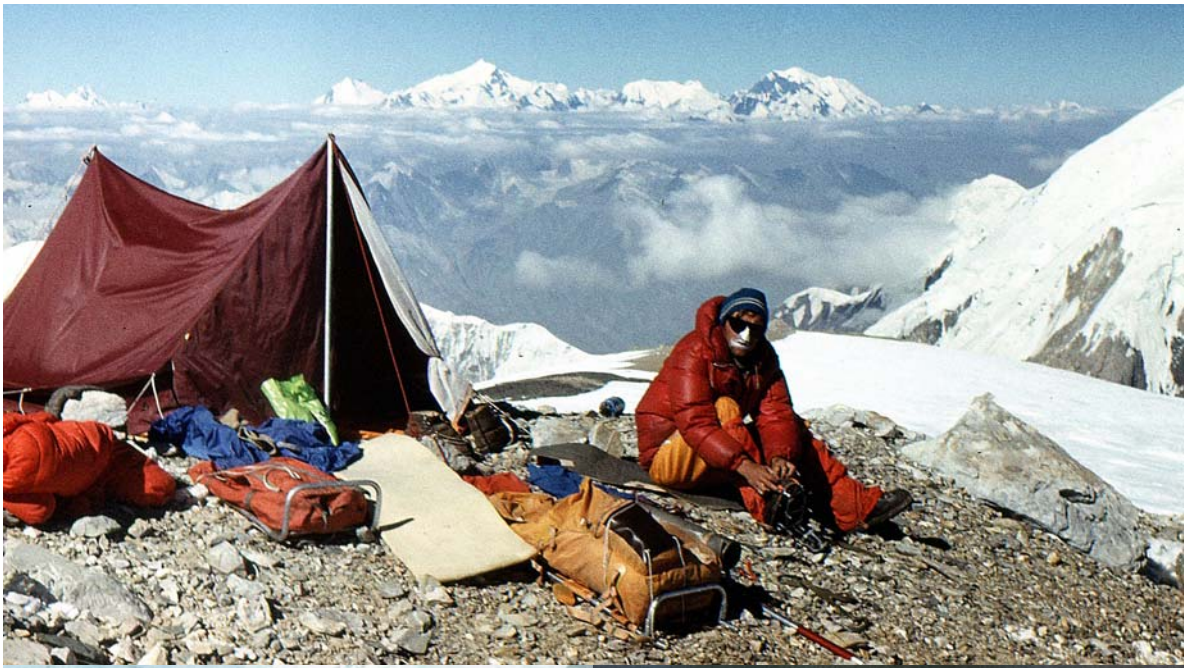

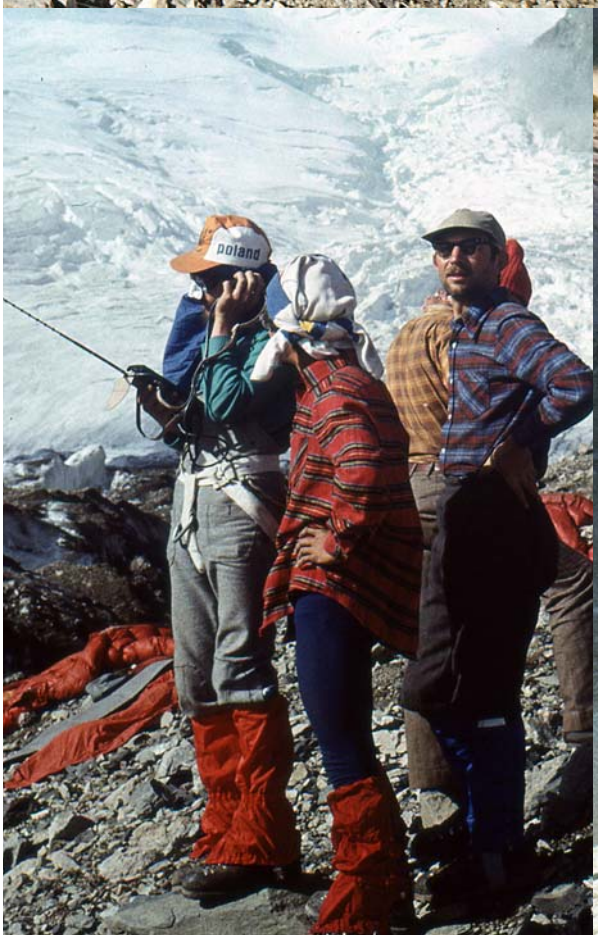
poland

# ДИПЛОМ

КОМИТЕТ ПО ФИЗИЧЕСКОЙ КУЛЬТУРЕ И СПОРТУ
ПРИ СОВЕТЕ МИНИСТРОВ УЗБЕКСКОЙ ССР

**НАГРАЖДАЕТ**

ВИЛЬТОЗИНСКОГО Яцека

знаком „Пик Ленина" № 1895 за восхождение на вершину Пик Ленина (7134 м.) в Заалайском хребте, совершенному „ 2 " августа 197 8 г. в составе команды ПНР

по маршруту через в. Раздельная

*Заместитель председателя Комитета* *Ю. П. ЕГОРОВ*

*Председатель федерации альпинизма* *В. И. РАЦЕК*

ТАШКЕНТ „ 6 " авг. 197 8 г. N

Таш. Ф-ка офс. печ.—7

–

## 40 rocznica zdobycia Kangchenjungi Central i K. South

Uzupełnienie informacji o ilustracjach

Autorem zdjęć Eugeniusza Chrobaka i Wojciecha Wróża, zamieszczonych w Biuletynie nr 6 na stronie 270, jest Józef Nyka.

# 85 rocznica zdobycia Piku Komunizmu (WEGA t. II, str. 436)

We wrześniu 1933 roku Jewgienij Abałakow (WEGA, t. VI, s.1) wraz z Nikołajem P. Gorbunowem (WEGA, t. VI, s. 288) weszli na Pik Komunizmu (przemianowany później na Pik Stalina, a obecnie na Pik Ismaiła Samaniego). Ich droga prowadziła wschodnim żebrem; na sam wierzchołek miał dotrzeć jedynie Abałakow, zaś Gorbunow, robiący zdjęcia, miał się zatrzymać nieco poniżej i następnie dołączył do schodzącego Abałakowa. Wyprawa ta, którą kierował Nikołaj P. Gorbunow, była częścią wielkiej eksploracyjnej ekspedycji naukowo-alpinistycznej Akademii Nauk ZSRR pod ogólnym kierownictwem Nikołaja W. Krylenki (WEGA t. VI, str. 432). Uczestniczyli w niej: Jewgienij M. Abałakow, Gieorgij A. Charłampiew (WEGA t. VII, str. 104), M.W. Dudin, Aleksandr F. Gete (WEGA t. VI, s. 272), Gokpłan, Danił I. Guszyn (WEGA t. VI, s.305), Wiktor I. Masłow, N.A. Nikołajew, Michaił Romm, Rozow, Gieorgij (Jurij?) M. Szyjanow (WEGA t.VII, s. 222), Wołkow, Anton Zak (WEGA t.VI, s. 838), oraz Kirgizi i Tadżycy jako tragarze wysokościowi.

Jewgienij M. Abałakow

Nikołaj P. Gorbunow

**Oto zestawienie najwcześniejszych wejść na Pik Komunizmu**

**1. wejście:** 3.09.1933 Jewgienij M. Abałakow.

**2. wejście:** 13.09.1937 Lew L. Barchacz, Jewgienij A. Bieleckij, I. Fiedorkow, Nikołaj A. Gusak, W. Kirkorow.

**3. wejście:** 21.08.1955 Lewan Achwlediani, Iosif Kachiani, Michaił Chergiani, Dżumbier Medzemariaschwili.

**4. wejście:** 1.09.1957 Iwan D. Bogaczew, Władimir I. Bujaczew, W.I. Daniłow, Iwan A. Gałustow, Kirił K. Kuźmin, Lew A. Lebiediew, Wiktor A. Potapow, A. Siewastianow.

**5. wejście:** 29.08.1959 W. I. Daniłow, Kirił K. Kuzmin, Anatolij G. Owczynnikow, Wiktor A. Potapow oraz A. Sewastianow.

**6. wejście:** 1959 W. Elczybiekow i towarzysze.

**7. wejście:** 1959 Jewgienij Iwanow i towarzysze.

**8. wejście:** 13.08.1961 Boris S. Baronow, Andantin K. Biełopuchow, Michaił M. Bongard, Walentin M. Bożukow, Oleg W. Bragin, Walentin M. Cetlin, Wadim A. Dubinin, A. Florinskij, Władimir A. Kołodin, J. Smirnow, Wiliam A. Smit, Jewgienij I. Tamm, Wadim B. Tkacz, Władimir K. Winokurow.

**9. wejście:** 1962 Michaił Chergiani i 4 towarzysze.

**10. wejście:** 08.1962 N. Alchutow, Joe Brown, Jewgienij Gippenreiter, W. Małakow, Ian McNaught-Davis, Greame Nicol, Anatolij G. Owczynnikow, Malcolm Slesser (Exp.62/1).

**11. wejście:** 19.08.1965 alpiniści radzieccy.

**12. wejście:** 1966 alpiniści radzieccy.

**1. wejście kobiece:** 1968 Ludmiła Agranowska z towarzyszami.

**1. wejście w zespole kobiecym:** 1982 Marija Frantar, Lidija Honzak, Irena Komprej, Irena Markus, Ana Mazar i Lidija Painkiher.

**1. wejście zimowe:** 4.02.1986 Władimir Bałybierdin, Jurij Janowicz, Aleksiej Moskalcow, Jurij Razumow, Władimir Szopin, Michaił Turkiewicz i Gienadij Wasilenko.

**Wejścia Polaków na Pik Komunizmu**

1. polskie wejście: 30.07.1972 Kazimierz Głazek, Stanisław Kuliński, Tadeusz Piotrowski, Wojciech Wróż.
2. polskie (1. kobiece) wejście: 17.08.1972 Wojciech Brański, Wiesław Kłaput, Marek Malatyński, Piotr Młotecki, Anna Okopińska, Kazimierz Waldemar Olech, Józef Olszewski, Andrzej Pietraszek, Zbigniew Pawłowski, Andrzej Sobolewski, Szymon Wdowiak.
3. polskie wejście: 10.08.1973 Marek Grochowski, Andrzej Heinrich, Ryszard Kowalewski i Kazimierz Jacek Rusiecki.
4. polskie wejście: 11.08.1974 Kazimierz Głazek, Jerzy Milewski i Ludwik Musiał.
5. polskie (2. kobiece) wejście: 17.08.1974 Roman Bebak, Ewa Czarniecka-Marczak (zginęła w zejściu), Janusz Mączka, Janusz Onyszkiewicz, Danuta Wach, Krzysztof Zdzitowiecki.
6. polskie wejście: 9.08.1978 Andrzej Czok, Walenty Fiut, Krzysztof Pankiewicz, Krzysztof Wielicki.
7. polskie wejście: 1.08.1980 Maciej Berbeka i Janusz Skorek.
8. polskie wejście: 4.08.1981 Lech Kiedrowski, Kazimierz Śmieszko.
9. polskie wejście: 5.08.1981 Andrzej Machnik, Maciej Pawlikowski.
10. polskie wejście: 6.08.1981 Ryszard Pawłowski i Krzysztof Zdzitowiecki.
11. polskie wejście: 30.07.1983 Ryszard Kołakowski, Tomasz Kopyś.
12. polskie wejście: 31.07.1983 Piotr Chiżyński, Krzysztof Kraska.
13. polskie wejście: 1.08.1983 Zbigniew Młynarczyk, Maciej Pawlikowski.
14. polskie (3. kobiece) wejście: 2.08.1984 Amelia Kapłoniak, Ewa Panejko-Pankiewicz.
15. polskie (4. kobiece) wejście: 3.08.1984 Helena Jordan, Andrzej Machnik, Andrzej Samolewicz.
16. polskie wejście: 3.08.1984 Marek Danielak, Mirosław Dąsal, Lech Kiedrowski.
17. polskie wejście: 4.08.1984 Eugeniusz Chrobak, Paweł Mularz.
18. polskie wejście: 8.08.1985 Jerzy Barszczewski, Włodzimierz Korpecki, Jan Wolf.
19. polskie wejście: 31.07.1986 Bogdan Kowalczyk, Jacek Tafel.
20. polskie wejście: 2.08.1986 Ryszard Knapczyk.
21. polskie wejście: 4.08.1986 Włodzimierz Derda, Jan Muskat i Leszek Sikora.
22. polskie wejście: 1.08.1987 Marek Józefiak, Andrzej Marciniak.
23. polskie wejście: 6.08.1987 Kazimierz Kiszka.
24. polskie wejście: 15.08.2006 Jerzy Kawiak, Marcin Miotk.
25. polskie wejście: 19.08.2006 Krzysztof Bigda, Daniel Kreutzer.
26. polskie (5.kobiece) wejście: 20.08.2008 Aleksandra Dzik, Marcin Kaczkan, Robert Róg, Maciej Stańczak, David Stec, Ireneusz Waluga, Szymon Wawrzuta.

Jak zwykle prosimy o uzupełnienia.

Dalej zamieszczone są okładka i strony dziennika z pierwszego wejścia na szczyt z książki J. Abałakowa, *Na wysoczajszych wierszynach Sojuza,* Moskwa 1963, oraz okładka i strona z topo pierwszego wejścia z monograficznej książki (Je.A. Bieleckij, *Pik Stalina*, Moskwa 1951), w której opisano trzy pierwsze wyprawy na Pik Komunizmu.

Евгений
Абалаков
На высочайших
вершинах
Советского
Союза

# *Из штурмового дневника*

*22 августа.* Лагерь «4600». Носильщики ушли на рассвете.

У нас неожиданные осложнения. У Шиянова всю ночь была рвота, и сейчас он чувствует себя явно плохо. Доктор его осмотрел и оставил в лагере.

Продолжительная съемка отходящих штурмовиков. Провожают все. Оператор суетится, снимает в сераках и в начале подъема. Прощание через трещину. Двое товарищей провожают нас до 4800 метров. Там 25-минутный отдых и трогательное прощание: расцеловались и разошлись.

Жарко. Ни облачка. Высота 5200. Температура плюс 5 градусов. Быстро поднимаемся на карниз. Эффектные лавины с ближайшего пика. По скалам идем 30 минут.

Лагерь «5600». Рекорд: поднялись за 4 часа 50 минут. В лагере носильщик, прозванный «Голова болит», увидев нас, в восторге захлопал в ладоши. Ну, все в порядке! Настроение у носильщиков прекрасное. Солнце жарит крепко. Отовсюду течет. Накормив двух носильщиков, отправили их вниз. Для остальных выделили усиленные порции — ребята очень довольны.

Решаем самостоятельно с Даниилом Ивановичем изменить план: завтра — на «5900». День там. Затем — на «6400», сразу без спусков, по пути проводя дорогу.

Погода портится. С ближайшего пика снежок начал заносить путь. Ветер рвет шквалом, на пике большие смерчи. В 6.15 ложимся в палатки. Температура — 0 градусов. Тепло и уютно. Но палатку целую ночь рвало ветром, и спалось плохо.

*23 августа.* Лагерь «5600».

Встали, когда достаточно пригрело. Состояние у всех приличное. Тщательно подкрепляемся. Температура — 0 градусов. Солнце иногда скрывается за прозрачные облака. Над пиком Коммунизма ясно. Носильщики уходят чуть раньше, солидно нагруженные продовольствием и радиостанцией. Мы выходим в 10.20. У нас тоже рюкзаки раздулись. Пришлось сверх своего снаряжения забрать все необходимое для кинофотосъемки, да еще забытую носильщиками палатку. Киносъемка отходящих.

Идем сугубо медленно. После первого жандарма заметили внизу ораву носильщиков (девять человек), поднимающихся к повороту. Идут не спеша. Догоняем их у второго жандарма и отсиживаемся под ним, потому что сверху «спускают» громадные камни. Еще киносъемка на жандарме. Страшно неудобно лезть с чересчур раздутым рюкзаком — всюду цепляешься.

В 12 час. 45 мин. мы у лагеря «5900». Увы,«все течет, все изменяется», и трещины окружили палатки. Ударная работа по выравниванию площадки на новом месте. Лишь к заходу солнца за жандарм управились. Три палатки стоят уютно, правда, большого простора нет.

Носильщик Нишан страдает от головной боли. Дал ему лекарства. К половине пятого несколько носильщиков, провожавшие нас, спустились на «5600». Перекликаемся.

Чуть мерзнут ноги. Высотомер показывает 5700 метров. Носильщики поют. Видимо, все в порядке. Северо-восточная часть пика Коммунизма чуть закрыта облаками.

*24 августа.* Лагерь «5900».

Чудесное утро. Выступили вместе с носильщиками в два часа утра. Рюкзаки явно тяжелы. Значительные перемены в снежных гривках — отступили и обледенели. Лезем быстрее, чем в предыдущие восхождения. Носильщики несколько отстали, но идут бодро. Повесили одну лестницу — удобств мало. До пятого жандарма дошли хорошо и тут, увы, носильщики, забастовали. Мы подтащили лестницу, я ее укрепил. Даниил Иванович уговорил их лезть выше. Носильщики поднялись до стенки, но тут окончательно застопорили. Нечего делать! Нагрузили на себя самое необходимое, а носильщиков отослали назад.

В кулуарчике снег весь стаял. Залезли легко. Зато на стенке, несмотря на лестницу, тяжело было зверски.

Хотели рюкзаки отдельно вытянуть — не тут-то было: цепляются и никак не лезут. С большими усилиями выволокли на себе.

Траверс по непройденному месту за гривкой оказался не прост, как мы думали. Сыпучая порода и обледенелые снежники перемежаются, хотя в общем и не очень круто. Однако опасность съехать вниз большая.

Началась ледорубная работа. Осторожно под моим охранением переходит Даниил Иванович. Я также осторожно лезу вверх к скалистому выходу. Едва касаюсь рукой камня, как вдруг он валится. Кричу: «Камень, камень!». Даниил Иванович вертит голову влево, вправо. Увернулся, но последний небольшой камешек все же попал ему прямо в руку. Пригнулся к земле, прилег и молчит. Кричу ему. Он тихо отвечает: «Руку разбило»... Оставляю рюкзак и спешу к нему, достав предварительно бинт. Вся рука в крови. Промываю — рана до кости, однако кость цела. Перевязал, взял его рюкзак и, связав предварительно перебитую веревку, мы кое-как добрались до скалистого выступа.

Здесь пришлось надеть кошки. Начались рыхлые неприятные снежники вперемежку со скалами. Даниил Иванович часто припадает, стонет, а тут еще темнеть начало. Тороплю его, но он еле идет. Скалы чуть покрыты осыпью и снежниками, страшно неприятны. Я лезу на веревку вперед, закрепляюсь и тяну Даниила Ивановича — лезет.

Стало совсем темно. Лезем ощупью. Конца не видно. Еще пролезли веревки на три, как-то совсем механически.

Впереди над головой просвет — отлегло! Еще веревка, и я стою в выемке. Маленькая площадочка служит нам ночлегом. С большим трудом влезли прямо в нерасставленную палатку, предварительно обвязавшись веревкой, укрепленной за крючья. Даниил Иванович стонет и просит меня разрезать бинт. Все слиплось — не поймешь, где мясо, где бинт.

*25 августа.* Спалось, хорошо. Голова не болит. Все делаем сугубо не спеша. К полудню перетаскиваю груз на гривку и здесь на площадке (метра полтора на три) ставлю палатку — лагерь «6400».

У Даниила Ивановича сильно разболелась рука. Соображаю насчет воды. Уже каплет. В увлечении свалил на себя камень. Удалось отпрыгнуть, хотя свалился и проехал

по камням. Но кончилось все удачно. Лишь чуть поранил руки.

Часам к двум показались носильщики — три человека. Принесли палатки, чуток консервов и письмо от Николая Петровича Горбунова. Дышит гневом. Неоднократно упоминается правительственное задание. Завтра должны подняться и они.

Чудесная погода. Пока солнце — очень тепло. Высотомер с 6400 метров поднялся до 6700. Аппетит приличный. Самочувствие хорошее.

*26 августа.* Лагерь «6400». Ясное утро. Высотомер поднялся до 6950. Вначале хотели сделать обследование и подняться по гривке, но я занялся рисованием и время ушло, а у Даниила Ивановича идти большого желания не было.

К двум часам опять показались носильщики, на этот раз двое. Говорят: «Идут начальники». Пошел встречать. Цак и Шиянов уже поднялись по спущенной мной вчера на скалах веревке. Старательно помогаю им. Измотались они крепко. Юрка Шиянов бледный, едва двигается. Антон Цак тоже «хорош».

Проводил их до самого лагеря и опять вниз — вытаскивать вторую пару. Они на том же месте. Совсем едва живы.

Спустил веревку закрепил на крюк и вытянул поочередно.

У гривки уже темнота застала. Николай Петрович ничего не видит. Предложил ему снять рюкзак и оставить его на гребне: «Я после за ним схожу». Страшно долго лезли, почти наощупь.

От лагеря я опять возвращаюсь, на этот раз за рюкзаком Горбунова. Тщательно ощупью раскидываю камни, шарю, разыскиваю в темноте рюкзак. Нашел! С ношей обратно, со всей осторожностью, удачно дошел до лагеря.

Все свалились. Из палатки носильщиков слышны стоны. Спим втроем. Ночь не холодна: температура минус 12 градусов.

*27 августа.* Лагерь «6400». Туман скрыл почти все, лишь видна вершина пика. Неприятный ветерок.

В девять часов выходим с Даниилом Ивановичем нагруженные станцией. Тяжелая штука! Сразу на

кошках по острой гривке. Шаг медленный. Несколько передышек.

До первого «пупа» около двух часов хода. Вот и вершинка! Кажется рукой подать, а идешь, идешь — конца нет...

Скалистое обнажение. Даниил Иванович с видом полного безразличия едва дотащился и ухнул рядом в снег. Попили из фляжки — ценная вещь! Дальше пологий широкий гребень. Тщательно прощупываю путь ледорубом — снег рыхлый, с трещинками, но в общем дорога пока ничего.

Подъем берем справа, слегка траверсируя. До него долго блуждаем в поисках перехода скрытой трещины. Наконец удачно перебираемся ползком.

Через каждые 25—30 шагов отдых. В горле пересыхает. Дыхание частое. Охватывает чувство какой-то подавленности: кругом снежная пустыня, метет, клубятся облака... Даниил Иванович плетью висит на ледорубе или валится в снег. Сердится, что я быстро иду. Банка рыбных консервов ободрила, а конфеты хорошо «смазали» горло — меньше сохнет.

Выбрались. Впереди громадное плато, влево цирк, заканчивающийся вершинным гребнем. Прямо перед нами острый и изорванный гребень, напоминающий мост в преддверие вершины, которую закутали облака. Мрачно!

Бесконечные остановки, бесконечный путь. Вот до гребня уже кажется близко...

«Давай здесь оставим груз»,— предлагает Гущин. Уже без двадцати пять. Вырыли яму и сложили туда чертовски надоевший ящик и прочие части радиостанции, а Даниил Иванович оставил и пуховую куртку. Громадное облегчение!

Вниз сбегаем быстро. Уже без былого чувства опасения проходим через трещины. Даниил Иванович фотографирует, а я жалею, что надоумил его заняться фотосъемкой: слишком долгое занятие.

Дошли до скалок. Даниил Иванович свалился. «Не могу,— говорит,— давай отдохнем!» Делать нечего! Хотя до лагеря совсем близко. Вот и «пуп», а вот выглянул и лагерь, забавно торчащий на острой гривке.

В лагерь прибыли без двадцати минут шесть. Ровно час спуска. Сразу же спать, почти не поев. Даниил Иванович говорит: «Никогда в жизни так не уставал».

*28 августа.* Лагерь «6400».

Бурная ночь. Опасались, как бы не сорвало палатки.

Туманное утро, туманное настроение.

Носильщиков вчера пришлось отправить вниз: сильно заболели, и лекарства не помогли. Обещали, если «голова пройдет», подкинуть еще питания. Но вряд ли... А с питанием тяжело — почти ничего нет, едим только кашу. Решено отправить Александра Федоровича Гетье и Антона Цака к пятому жандарму за оставшимся продовольствием.

Николай Петрович и Шиянов решили подняться вверх и закинуть палатки и кое-какие инструменты. Но, поднявшись на несколько шагов (я было уже по заданию стал их фотографировать), Юра сел, а вскоре и назад повернули. Так и кончилась первая попытка. У Юрия слабость страшная, бледен и сильно осунулся.

Погода лучше. Солнышко. Начало капать. Спешу запасти воду. Пора встречать Гетье и Цака. Беру веревку, и знакомый спуск начался. Здорово! Они уже почти у гривки! По укрепленной мною веревке вконец измотавшиеся товарищи поднялись несколько быстрее. Рюкзак Александра Федоровича я взвалил на себя и довольно легко пошел вверх. На гривке не выдержал и обогнал их. Как выяснилось позже, носильщики подкинули груз на пятый жандарм, чем очень облегчили поднимающимся альпинистам доставку груза и значительно сократили время.

Наконец-то удалось вдоволь напитаться всем. Вечером богатый ужин: магги, язык, компот.

Решено: завтра все выходят на вершину! Двое в качестве носильщиков: вечером они должны возвратиться на гривку, в лагерь «6400». Четверо остальных ночуют на высоте станции, а затем, если возможно, забрасывают ее к вершине, устанавливают, и штурмуют вершину.

Я лично предполагаю, что станцию поднять выше не удастся.

Хорошая ночь.

*29 августа.* Лагерь «6400». Утро, обещающее приличный день.

Долго варится завтрак. Половина девятого, а мы еще не поели. Наконец, тщательно распределив все съедобное, двинулись.

Первая связка (Горбунов и Гетье) была уже на первом «пупе», когда в 11.30 вышла наша — я и Даниил Ивано-

вич. Он несколько оправился, но все же еще слабоват. Идем довольно быстро и уже у трещины нагоняем первую связку. Считаем пульс: у меня 80, у Гетье 90, у Горбунова за 100. Тепло. Солнце печет здорово.

Спустя примерно час появилась третья связка (Цак и Шиянов) Юра опять стал что-то опускаться на снег.

Вот и скалы. По гривке шли не спеша, но ждать первую связку пришлось очень долго. Наконец, появились Горбунов и Гетье. Николай Петрович вновь старательно измеряет пульс.

Прошло полчаса, а третьей связки — Шиянова и Цака все нет... Иду навстречу им. Лезут.

— Ну как, Юра, самочувствие?

— Прекрасное.

Мы опять значительно обгоняем всех. Даниил Иванович стал чаще останавливаться. Долго отдыхаем у подъема после трещины и закусываем сахаром и галетами. Гущин от галет отказался. Настроение у меня чудесное — ору песни.

Наконец, показалась первая связка. С комичной осторожностью перебралась через трещину. Обступили меня.

— Ну, сколько еще до станции? — спрашивают.

— Да часа три будет!

— Неужели?..

— Это если хорошо идти,— подзадориваем мы.

Подъем мы взяли неожиданно хорошо. Но наверху Гущин сдал. Через десять шагов остановился. Я не выдержал. «Посиди, отдохни, Даниил Иванович, лучше будет». И пошел довольно быстро вперед.

Вот и станция. Вся засыпана снегом. Спешу разгрести площадку для палаток — скоро начнет темнеть. Работаю и ногами и ледорубом, а сам удивляюсь, как на высоте 6900 метров столько энергии набралось!.

Показались остальные. Нога за ногу. Первый Даниил Иванович, как дошел, так и рухнул и не встает. Помог Антону Цаку дотащить рюкзак. Юрик Шиянов бледный, но еще улыбается. Деловитее и энергичнее всех, хотя тоже смертельно устал,— Николай Петрович.

Палатки поставили рядом. По три человека в каждой. Набьемся, как сельди в бочку. В нашей — Антон. У Николая Петровича — «кухня» и продукты.

А крутить стало не в шутку. У ребят мерзнут ноги, и все желают скорее попасть в палатку. А как улечься втро-

*Высота 6500 метров. Все ближе заветная вершина пика Коммунизма*

ем, да еще быстро? Даниил Иванович стонет, залезая в мешок: все не знает, как больную руку положить. А тут еще Антон неосторожно стукнул по ней. Ну, мне-то вклиниться — дело привычное. Скомандовал: «На бока!» и втиснулся. Даниил Иванович только охнул.

Из «кухни» получаем порции магги, язык, чай. Достаю я, поэтому и лежу посредине. Холодом обдает протянутую руку и тут же обжигает горячей посудой. Даниил Иванович от языка отказывается (значит в нашу пользу). Антону даю фенацитин. Ну, теперь, кажется, все.

Спал не плохо, тревожил ураганный ветер, который кое-что в конце концов покалечил.

*30 августа.* Лагерь «6900». Вид у всех пасмурный.

Решили так, мне с Цаком идти вперед со станцией. Остальные немного позже донесут части к ней. Цак должен проводить меня метров на двести, потом спуститься и с Шиянчиком «скатиться» вниз до Ледникового лагеря.

Увы, не дошли еще до подъема на гребень, как Антон взмолился: «Не могу, ноги замерзли, не дойду...». И через пять шагов остановился.

«Ну, отвязывайся, давай станцию — я один пойду». Взваливаю двойной груз на спину. Тяжело, но шагаю все же успешно. Уже до половины крутой части поднялся, когда отделилась от лагеря фигурка.

Глубокий снег. Тащить станцию тяжело, но до трещины все же дошел. Закусываю сахаром и шоколадом.

Из лагеря кричат: «Даниил Иванович заболел, идет вниз...» И вскоре от лагеря вниз начинает спускаться третья фигурка. Двигаются страшно медленно и все еще по ровному месту. Часто садятся.

Туман причудливо застилает все кругом, лишь надо мной кусок ясного неба. Сильно печет солнце. Поджидая отставшую пару, занялся рисунком.

Александр Федорович подтянулся к Николаю Петровичу, сели оба и... безнадежно. Я не выдержал, без рюкзака спустился к ним.

— Ну, Николай Петрович, с такими темпами мы у вершины станцию не поставим.

— Вы правы, давайте спускаться! Женя, идите за станцией и спускайте ее вниз. Поставим у лагеря...

Мои предположения сбылись, а как этого не хотелось!..

Николай Петрович продолжает:

— Станцию ставим близ лагеря и, отдохнув, совершаем восхождение на вершину.

Они едва дотащились до лагеря. Ноги у обоих подкашиваются, особенно у Александра Федоровича. Иду за ящиком.

Основание станции — доска от ящика, положенная чуть ниже снежной поверхности. Колья вошли крепко в наст, растяжки натянулись.

Радиоантенну тоже установил неплохо. Жаль, ветер слаб, не крутит пропеллер.

Кухмистерская теперь у меня. Варю, жарю: магги, язык, чай. С удобствами забираюсь в мешок. Сплю хорошо. Ночью ветер и снег.

*31 августа.* Лагерь «6900». С утра мрачно. Ветер, снег, туман.

Принимаюсь за чай. Две кастрюли сразу опустошили. Вылез, отгребаю снег около палаток. Туман, ничего не видно. Снег тает на палатке и вода бежит внутрь.

Николай Петрович с Александром Федоровичем занимаются составлением «высокогорного ассортимента» про-

дуктов. (Платоническое занятие, особенно когда продуктов ничтожное количество и в животе урчит).

Готовлю «язык по холодному», желая накормить одним видом, как во французском кабачке.

А снег все валит. Был просвет, но и тот затянуло тучей. Завтра, если погода будет сносная, выступаем на вершину. Если нет — еще ждем день на самом умеренном пайке.

Не спится. Все на луну смотрю. Светит ярко. Иногда снежком пересыпает.

*1 сентября.* Лагерь «6900». На рассвете начался сильный ветер, и вскоре разразилась снежная буря. Пришлось восхождение отложить на завтра.

Продукты экономим. Вместо какао готовлю лишь чай. Светит солнце, но кругом ничего не видно.

Ставить станцию сегодня, конечно, невозможно. Решили вначале попробовать у палатки... Только вылез — моментально замерз. Адские порывы смерча! Пропеллер крутится.

Очистил от снега обе палатки. Замерзли ноги. Снял шекельтоны — и в мешок! А станция осталась за палаткой. Николай Петрович сильно сердится. Но над палаткой проносятся такие смерчи, что вылезать нет никакого желания! Но замучила совесть — уснуть не мог. Вылез до половины и снял пропеллер. Палатку мгновенно наполнило сугробом. Залез с головой в мокрый мешок и тут же заснул.

Порывы ветра невероятные. К утру порвало растяжку, и в моем распоряжении остался кусочек палатки. Ноги и бока крепко прижаты сугробами снега. Температура 27 градусов мороза.

*2 сентября.* Лагерь «6900».

Кругом свистит и ревет. Николай Петрович молит о помощи. Их палатку завалило наглухо. Не могут шевелиться. Задыхаются.

Я вылез из палатки. Сейчас же едва не сбило с ног, а палатку забило снегом.

Крышкой от кастрюли начинаю кое-как откапывать заживо погребенных. Освободив пострадавших, откапываю и их оторванную палатку. С большим трудом натянул ее вновь.

Затем натянул и край своей палатки. Закоченел. Влез в нее. Долой шекельтоны! Спальный мешок — ледяной. Немного отошел. Принимаюсь за кухмистерскую. Главная трудность — передача еды в другую палатку.

К вечеру стало стихать, и наконец, прояснилось. Вылез на работу по раскопке палаток. Работы — жуть! Нас завалило на метр. Кругом побелело. Выглядит все особенно мощно и как-то призрачно. Минимальный термометр показывает 45° мороза.

Завтра — последний шанс на восхождение. Продукты кончаются. Александр Федорович чувствует себя плохо.

*3 сентября.* Лагерь «6900».

Рассветает. Изредка метет. Дали туманны, но в общем ясно. Решено: выходим!

До трещины идем не связанные. Я довольно быстро обогнал Николая Петровича. Старые следы мои замело и надуло глубокого снега. Медленно лезу по колено в снегу. Николай Петрович у трещины сел:

— Посмотрю ногу, не чувствует ничего.

Жду. Разувается страшно долго. Нога оказалась в порядке. Связались, и я полез. Ноги уходят глубоко в снег. Я весь в снегу, но все же медленно продвигаюсь вверх. Круто. Николай Петрович с одышкой медленно пробирается по моим следам.

Крутая часть оказалась длинной и утомительной. Снег необычайно глубок. Продолжительный отдых на первой вершинке. Дальше тревоживший нас карнизик оказался очень простым, и мы легко обходим его по правой стороне. Еще один подъем и опять глубокий снег. Николай Петрович все чаще садится, видимо, ему тяжело поспевать за мной.

Пологий подъем и гребень пройден. Но сколько времени прошло! Если и дальше так будем продвигаться, то прощай вершина! До темноты не добраться.

Предлагаю Николаю Петровичу отвязаться. Пойду вперед до седловины, а потом прямо на вершину. Николай Петрович пойдет там, где будет удобно, без большого подъема, и постарается подняться по северо-восточному гребню, сколько возможно. Предложение принято.

Иду один (Николай Петрович все сидит). Пологий подъем к траверсу вершинного гребня. Иду легко и быстро, склон 35—40°.

Встретил глубокий снег. Лезу по 15—20 шагов, затем отрыхаю. Обдумал план траверса. Иду под кубическими сбросами. Из глубокого снега выхода нет. Резкий поворот вверх вывел, наконец, на жесткий фирн.

Николай Петрович шевелится где-то далеко внизу. Кричит... Что — понять не могу. Доносятся лишь обывки фразы: «Буря!... влево...» По гривке, действительно, помело здорово и закружились смерчи.

Громадная трещина. По мостику переползаю на противоположную сторону. Беру резко вправо. Траверсирую над трещиной с большой осторожностью. Склон 45 градусов. Боюсь делать большие остановки. Солнце уже спустилось низко!

Вот и северо-восточный цирк. Он залит солнцем и в глубоком снегу. Возникает новый план: затащить рюкзак на северо-восточный гребень — все равно по пути к вершине.

Тяжело лезть по крутому склону и в глубоком снегу. А вершина зовет и требует все новых усилий! Но какое облегчение и радость — на гребне, как фаянс, жесткий наст. Спешу посмотреть на запад — чудесная картина!

Слева огромная вершина — пик Е. Корженевской — за ней резкое понижение. Вершины слабо оснежены. На запад тоже массив: гребень с рядом вершин, уходящий дугой на северо-запад. Меж вершинами пика Коммунизма и Корженевской целая система красивейших, чешуйчатых ледников, спадающих в северо-западном направлении, но куда именно, проследить не удалось — закрыл туман. Поднимаюсь на острый гребень. Все же высота сказывается: шагов двадцать сделаю — и отдыхаю.

Начал спуск в основную выемку. Гребень, как нож, и небольшие карнизики. На восток почти полный отвес, около километра.

Последний крутой тяжелый кусочек преодолен. Справа гряда скалистых более пологих выходов. Первые плиты камней.

Вершина!.. Вот она! Не выдержал, от волнения и радости на четвереньках вполз и лег на чудесные, чуть тепловатые и защищенные от холодного ветра плиты.

Первое — вытащил альтиметр. Стрелка прибора ушла на последние деления — 7 700 метров. Это приятно удивило. Если даже взять поправку (он показывал несколько более), то цифра все же остается солидной, близкой к

7 500. Температура по альтиметру 20 градусов. Это не точно. Он обычно здорово не дотягивает. При сильном ветре морозит крепко. С моих усиков свисают две огромные сосульки. Борода тоже стала ледяной.

Дыхание восстановилось. Вытащил из кармана полплитки шоколада, сжевал (рассыпается, как песок, и безвкусный какой-то).

Делаю схемы и зарисовки ледников, вершин и хребтов. Как обидно: вся южная, восточная и юго-восточная сторона закрыта от вершины огромным облачным флагом. Юго-запад тоже в туманной дымке и очень плохо различим. Лишь северо-запад очищается от тумана и видна грандиозная глубина, вызмеенная красивейшими и мощными ледниками, и громады хребтов, уходящих и снижающихся вдали. Отсюда чувствуешь всю громадную высоту пика. Все вершины, тоже немалой высоты,— глубоко внизу. Лишь пик Корженевской «пытается подняться» до пика Коммунизма, но все-таки значительно уступает.

Солнце не ждет и неуклонно опускается вниз. Приходится спешить. Тревожит состояние Николая Петровича.

Последняя задача — сложить тур и вложить в него банку с запиской — оказалась не такой простой. Вершинные плиты представляют породу исключительно мягкую, пористую, красноватого цвета с округленными краями. Небольших отдельных камней рядом с вершиной почти не нашлось. Видимо, свирепствующие ветры срывают их и сбрасывают вниз. Лишь немного отойдя от вершины, удалось найти несколько камней и заняться не легким в этих условиях перетаскиванием их к вершинному левому (по ходу) пику, отделенному небольшой трещиной, полунаполненной снегом; через трещину приходилось широко шагать, и это утомляло еще больше. Притащив таким образом плит пять-шесть, сложил их вокруг плоской банки и сверху покрыл наиболее крупной плитой. Кончена работа!

Встал, огляделся. На туманном фоне востока тоже встала огромная фигура. Я замахал руками — и там поднялись огромные лопасти и тоже замахали.

Пора на спуск. Забрал альтиметр, ледоруб и не спеша полез среди камней. Увы: то, о чем столько думал,— забыл! Забыл захватить камень с вершины. И еще пожалел, что тур сложил на самом вершинном камне, его наверняка сдует (а все из-за того, чтоб не сомневались, что

до вершины дошел). Правда, кроме записки ниже в щель заткнул обертку от шоколада, но и она вылететь может.

На крутой гривке пришлось спускаться очень осторожно. Но слез довольно легко и быстро. Несколько неудобней стало идти дальше, по острому гребню. Приходилось сугубо аккуратно и не спеша ставить ноги и прочно всаживать кошки, стараясь не зацепить о штанину, иначе полет обеспечен.

Так, почти без отдыха, выбрался из выемки и увидел на гривке, на месте моего подъема, фигурку Николая Петровича. Спешу к нему по острой гривке. Один раз зацепил штанину, но удачно — хорошо воткнутый ледоруб удержал. Сбежал с гривки, траверсирую трещину. Вот уже скалы и встреча с Николаем Петровичем! Пожали руки, поздравили друг друга. Он видел меня на вершине.

— А где же рюкзак? Я не нашел его,— говорит Горбунов.

— Да вот он, в трещинке, к нему и следы ведут...— Чуть не рысью бегу к рюкзаку (досадно, сколько времени ушло, а измерения еще не сделаны).

Достаю инструменты, планку для лейки. Николай Петрович заряжает трясущимися руками. Замерз он очень. Щелкает фотоаппаратом, но лейка работает явно плохо. Я беру бусоль и начинаю делать засечки. Записываю цифры в альбом и тут же спешу сделать наброски вершины Корженевской, западного гребня и других. Выходит коряво, трудно сосредоточиться, но хорошо и это, потому что (как позже выяснилось) зарисовки оказались единственными документами, характеризующими западные вершины. Лейка замерзла и ни одного снимка не вышло.

Николай Петрович спешит на спуск. Замерз окончательно. Солнце уже садится.

Я остался дорисовать и собрать инструменты. Захватил три камня с гривки (но позже забыл их на высоте 6 800).

Ну, прощай, пик! Быстро пошел по крутому спуску догонять Николая Петровича. На седловине догнал.

Под мощными стенами кубических сбросов, маячащих силуэтами, совсем темно. Но скоро выручила луна. Желтым блином вылезла из туманной дали, не сразу, но осветила нам спуск. А подход к гривке был освещен уже исключительно ярко.



382

Николай Петрович немного отстает, делает передышки. Я покорно дожидаюсь. Вот и крутая часть спуска. Глубоко приходится приседать, чтобы без рывка опустить ногу в рыхлый грунт. Выше колена увязают ноги в старых следах. Кричу Николаю Петровичу:

— Легче ставьте ногу...

Но уставший Горбунов топает грузно, во весь мощный вес. Однако снег не сдал, и Николай Петрович удачно дошел до низа. Трещина также благополучно осталась позади. Ну, теперь дорога ясна и легка.

Очень тревожит состояние Александра Федоровича. Когда мы уходили, он был очень плох. Как-то он? Не случилось ли чего-нибудь непоправимого в наше отсутствие?

Быстро с подбежкой иду к лагерю. Луна ярко заливает фирны пика зеленоватым таинственным светом, отчетливо выделяя наши следы. Маленькими квадратиками показались палатки. Еще ускорил ход — и вот я уже около них. Тихо. Приоткрываю палатку.

— Александр Федорович, вы живы?

— Жив, жив, и о вас страшно беспокоюсь...

— Ну, как видите, и мы живы, и вершину взяли!..

Пока говорили, подошел и Николай Петрович. Опять поток взаимных расспросов.

«Хорошее самочувствие, очень удачно спустились»,— говорит Николай Петрович и разуваясь, и вдруг замолк, пощупал ноги — они ледяшки и носки к пальцам примерзли. Вот так удачно!..

Сейчас же (о чае уже некогда думать) перетащился Николай Петрович в мою палатку и пошла работа оттирания. Одну ногу тру снегом и рукавицей. Другая одета в носок и сам Николай Петрович трет ее. И так по очереди — бесконечная, нудная, но необходимая работа. Постепенно разминаются пальцы, появляется гибкость. Пальцы уже сами гнутся, но чувствительность никак не возвращается. Прошло много времени. Высоко взошла луна — я все тер. Наконец, пальцы пришли в приличное состояние, совсем оттаяли, но чувствительности добиться так и не удалось. Решили кончить. Спать клонит (о чае уже забыли думать).

Скорее в мешок. Влез в него во всем снаряжении, исключая ботинки. Ноги оказались тоже чуток подморожены, однако оттирать не стал. Попробовал — гнутся, ну и ладно, отогреются сами. Заснул быстро и спал здорово.

*4 сентября.* Лагерь «6900».

Встали не рано. Чудесное ясное утро. Принимаюсь за приготовление чая. На магги что-то не тянет.

Ноги Николая Петровича двигаются нормально, но чувствительность, увы, не вернулась.

Занялся сборкой станции, Николай Петрович — кухней. Беспрерывный чай — это почти единственное, что у нас осталось. Есть еще банка шпрот (порция Николая Петровича). Но вот и она дружно опорожнена. Осталось немного шоколада — доели и его. В общем подчистили все остатки, а чай разливался рекой на все лады. Так часа два и прочаевничали.

Начали сборы. Пока вытряхивали все из палаток, да укладывались — времени прошло уйма. Все мокрое, все в снегу, все обледенелое. Нужно немного подсушить (с трудом свертывается), да и больным нужно помочь уложиться.

Сборы закончились, когда солнце сильно склонилось к вершине. Я навьючил на себя огромный рюкзак, захватил остатки деталей к станции и отправился кончать установку.

Радиостанцию подтянуть — дело нескольких минут. Соединил контакты, затем начал заклепывать пропеллер, чтобы не сорвало. При помощи кусачек довольно добросовестно укрепил его. Осталось подтянуть растяжку, установить стойку по отвесу, надеть тормозной винт.

Я уже кончал работу, когда со склона раздались крики. Приподнявшись, я увидел Николая Петровича и Александра Федоровича. Они беспомощно сидели и усиленно звали меня. Поспешил скорее собрать разбросанные инструменты, привел в порядок станцию и, вскинув свой рюкзак, быстро двинулся к ним.

Состояние Александра Федоровича тяжелое. Связались. Впереди я, затем Николая Петрович, последним Александр Федорович. Часто отдыхаем. Александр Федорович дышит страшно тяжело. Бледный, как мертвец, и странно заострился весь, смотреть жутко. Тут и поспешить не мешало бы: вечер скоро и ноги Николая Петровича опять могут замерзнуть, но никак нельзя!

Пошли трещины. Следы во многих местах передуло и намело целые сугробы, что еще больше затрудняет передвижение.

Александр Федорович опять свалился. Терпеливо ждем. До каменистых выходов еще три раза отдыхаем, а на

оных расположились всерьез. Целая процедура поднять Александра Федоровича: ослаб он страшно.

Солнце уже зашло за вершинный гребень пика. Длинная тень закрыла Бивачный ледник, лишь гребни соседних вершин еще ярко сияют. Александр Федорович жалуется:

— Николай Петрович, идите ровнее, вы сейчас меня свалите...

Еле тащу связку. Наконец последний снежный бугор. Еще немного... Вот последняя гривка, а вон и палатки лагеря «6400» венчают скалистую гривку.

Но что это? Из палатки кто-то выходит. Кричу:

— Антон!..

Незнакомая фигура в гольфах спешит навстречу. Фигура приблизилась. Носильщик? Нишан! Вот так щеголь! И где это он гольфы достал? Пока он обходит камни, по огромной заплате сзади на гольфах узнаю свои. Ну, хорошо, носи, да лазай только получше!

С его помощью довольно успешно транспортируем вниз Александра Федоровича. На мои плечи легли все вещи. Груз получился увесистый, но плечи выдерживали, в помощи не нуждались, и все довольно быстро дошли до лагеря.

Трогательная встреча. Расцеловались с Антоном и Зекиром. Они, оказывается, поднялись совсем недавно, за полчаса до нас и подтащили продукты.

Уложили Александра Федоровича и Николая Петровича в палатку.

Я устроился в нижней палатке с уртаками, и они сразу же принялись меня угощать. Язык, колбаса, сыр, печенье, чай... С жадностью навалился на все сразу. Даже спать тяжело.

Увы, не все хорошо кончается. Часа через три характерная боль в глазах. Всю ночь не мог заснуть.

*5 сентября.* Лагерь «6400».

Утро печальное... Глаз открыть не могу — страшная резь. Было трудно собирать станцию в очках и я снимал их! Провозился со станцией целый день на высоте 6900 метров на ярком солнце. И вот я слепой.

Носильщиков нагрузили увесистыми рюкзаками и отправили вниз. Пошли без особого энтузиазма; внизу есть, говорят, нечего, а здесь всего много.

*Спускаюсь быстро — частично по лестнице, частично по скалам*

Антон переселился ко мне. Ухаживает за «слепым» и кормит, как на убой. К вечеру боль стала утихать. Решили на ночь никаких снадобий не прикладывать. Александр Федорович чувствует себя значительно лучше. Но у Николая Петровича ноги отнюдь не поправляются, а наоборот, ходить ему становится все труднее.

*6 сентября.* Лагерь «6400».

Я уже немного могу смотреть, хотя обильно бежит слеза и перед глазами туман. Спускаться решили сегодня. Медлить нельзя. Сборы заняли много времени. Опять в рюкзак набралось слишком много. Пришлось мои ватные штаны оставить. Палатку свернули, и, привалив камнями, тоже оставили. Зато злосчастную кинамку уже никак нельзя было оставлять — взвалил на себя.

Выходим поздно, около 11 часов. Первая связка — Николай Петрович и я. С сугубой осторожностью лезет Николай Петрович. Я охраняю. Конец веревки короткий. Пройдя его, Николай Петрович отдыхает. Задняя двойка нервничает. Просят, чтобы их вперед пустили. Но они с Александром Федоровичем не пошли бы быстрее.

Наконец, дошли до спуска по склону. Опять верхние ждут, чтобы не спустить на нас камни.

Присыпанный снегом скалистый склон требует еще большего внимания. Помогают вбитые раньше крюки. Говорят, скоро и веревка должна быть, укрепленная Александром Федоровичем, Долго искали, и лишь у самого снежника действительно оказался короткий конец, который немного помог.

Со снежника все сдуло. Кое-где обнажился лед. Пришлось подрубать. Сверху торопят и волнуются. Александр Федорович взял у Антона ледоруб, когда тот снимал рюкзак, что-то крикнул нам, взмахнул ледорубом и... выпустил его. Сделав несколько огромных прыжков, злосчастный ледоруб попал на камень, да так, что дальше уже полетели две части, а вскоре и все четыре скрылись за ближайшим уступом.

Осторожно спускаемся с последнего снежника, охраняя друг друга.

Самая неприятная часть позади. Впереди пять жандармов, но уже значительно обезвреженные навешенными веревками, лестницами и, что, пожалуй, главное,— очищенные от шатких камней.

Отдохнули. Сыпучим кулуарчиком пошли скорее, хотя и тут требовалась осторожность: камни сыплются здорово.

Еще кулуарчик, но более безобидный, и Николай Петрович страхует меня уже с площадки пятого жандарма. Спускаюсь быстро — частично по лестнице, частично по скалам. Не успели мы выбраться, как сверху уже посыпались камни: спускаются Антон с Александром Федоровичем.

Наиболее неприятный траверс по стене тоже отнял много времени. Горбунов сначала не знал, как к нему приступить, но благодаря своему длинному росту спустился удачно.

Четвертый жандарм уже кажется пустяковым, хотя охранение не оставляем и здесь. Вот и траверс у снежника, заваленного свежим снегом, остался позади. Николай Петрович обошел кругом и снизу охраняет. Я быстро подхожу к нему. Вообще за мной задержки не бывает. «Вы идете вдвое быстрее»,— замечает Горбунов.

Впереди кусочек с наклонными плитами, требующий большого внимания. Еще немного и последняя лестница прощается с нами. А отсюда до второй снежной гривки — рукой подать. Но без кошек тут не обойтись. Спуск пошел быстрее. Охраняем лишь на самых крутых участках. Прошли уже почти весь снежник, а вторая связка только выходит на него.

Опять снимаем кошки. Надоедливая процедура, особенно когда время дорого — дело совсем к вечеру. Знакомый траверс скалистой стенки. Гривка. Кулуар и спуск к третьей снежной гривке, требующий осторожности, дабы не наградить нижнего хорошим камешком. Все прошло удачно.

Ба! Знакомое лицо улыбается навстречу.

«Ураим! Якши, джигит! Лезь выше, там начальник, помоги, рюкзак возьми»,— и разошлись. Спешим скорее спуститься, чтобы невзначай шишка сверху не прилетела, и все-таки парочку камней он нам бросил. Опять встали на кошки.

У лагеря «5900» встречают уртаки. Кроме Зекира все налицо. Рады страшно! Решили было отправить их на «5600», но пока сматывали «шара-бара» стемнело совсем, да и они не выражали энтузиазма к спуску. Решили оставить ребят, благо и палатка еще одна прибыла. Ребята довольны.

Мое зрение восстановилось окончательно. В сухом и мягком мешке спать прекрасно.

*7 сентября.* Лагерь «5900».

Утро чудесное. Уже чувствуется, что спустились порядочно.

Солнце хорошо пригревает и воздух теплый — минус 3 градуса (вчера вечером было минус 5). Александр Федорович поправляется страшно медленно. Все еще очень слаб.

Со скалы виден лагерь «5600». Нам кричат, видимо, горят нетерпением нас увидеть. А мы не спешим. Сначала отправили уртаков, затем собрались и сами. Пошли опять в том же порядке.

Носильщики ушли недалеко. На втором жандарме догнали их и помогли спуститься. Старательно охраняем; лезут ребята тихо и неуверенно. Потом полез Николай Петрович. Что-то ужасно долго, ждать надоело. Оказалось, изменение в пути: выпали некоторые камни, и спуск затруднился.

Дальше уже пустяковое дело — идем «пешком». Ух, как приятно! Почти вся действительно серьезная армия жандармов побеждена и осталась позади. Впереди длинный волнистый гребень, еще одна скалистая кочка, пологий гребень и мы уже совсем дома — в лагере «5600».

Носильщики резвятся, дурят, скатываются по снежнику. Снег растопило, мокроватый, скользит. От прошлой бури еще остался толстый покров, местами ноги вязнут в следах. Последний раз снимаем кошки. Через жандарм перебираемся быстро и по снежнику уже топаем без кошек.

Из лагеря на ближнюю кочку вышли встречать нас все его обитатели. Первой затрещала кинамка. Оператор страшно суетится. Миша Дудин торжественно говорит поздравительную речь. Сошлись, обнялись и крепко расцеловались... Приятно все же, когда так тепло встречают и радуются нашей общей удаче. Оператор продолжает щелкать и трещать, снимая со всех сторон и в разных комбинациях. Доктор сейчас же занялся больными.

Появилось еще одно новое лицо и приветствует нас. Это длинный юноша — строитель станции радист Маслаев. О его прибытии мы уже знали, знали и о том, что он привез самопишущую годовую станцию. Мы хотели поставить ее на «5900», но Маслаев поторопился и поставил ее

*Н. Горбунов и Е. Абалаков в лагере «5900»*

на «5600». Однако получилось совсем неплохо. Тот же Маслаев ободрил совсем было упавших духом «низовиков», увидав 3 сентября со склона пика Орджоникидзе две наши фигуры, поднимающиеся к вершине пика Коммунизма.

Передохнули. Наговорились вдоволь. Наконец, смотали свое «шара-бара», и лагерь «5600» был ликвидирован.

Начали спуск.

На карнизе глубокие следы, поэтому кошек решили не надевать. С легким подкатыванием сбежали вниз. Дорожка заметна, но уже здорово подтаяла, местами обнажился лед. Скалы уходят назад. Грозно нависающий ледник тоже отступает. Наградит ли он на прощанье лавиной или помилует? Давно уже не было больших лавин, а там наверху явно готовится огромная лавина, она уже медленно отделяется от основной массы, готовая ежечасно нарушить грохотом горную тишину. Но нас помиловала.

С подкатцем прошли лавинный кулуар, по крутой части съехали сидя и дальше с подбежкой вниз по извилистой тропе. Отставших еще не видно.

Знакомый шум ледникового потока. Так бы и выкупался в нем! Теперь только стена сераков отделяет нас от лагеря. Меня берет радостное нетерпение, и я все время убегаю вперед. Кончилась ледяная готика. Вышли на серую зыбь морен, но на этот раз они не удручают: ведь лагерь уже на виду и там нас ждут! С вершинной морены кричу его обитателям.

В лагере зашевелились. Люди в полушубках, похожие на зверей, двинулись нам навстречу. Даниил Иванович с рукой как в люльке. За ним Шиянчик. Данила растрогался, а при упоминании о руке даже всплакнул. Юрочка все еще бледноватый, но выглядит уже бодрей.

Темно, а Александра Федоровича, давно спустившегося с последнего ледникового крутяка, все нет и нет. Уже произошла перегруппировка палаточных обитателей и место ждет больного. Я не выдержал, иду навстречу, ковыряя в темноте морену. Сверху услышал, наконец, голоса и скоро встретил отставших. Обняв за шею Мишу и Витю, как на костылях, медленно передвигается Александр Федорович. Я сменил Маслова, и мы заковыляли.

В лагере уложили Александра Федоровича в палатку.

Спим втроем в старой нашей палатке. Из палаток доносятся стоны, хриплое дыхание, многие во сне вскрикивают. Кажется, один я здоров и сплю за всех.

*8 сентября.* Лагерь «5600».

С утра начались сборы. Закончились они лишь к 12 часам.

Я пошел с рюкзаком раньше, с расчетом успеть подняться на гривку и порисовать пик Коммунизма.

Погода исключительная. Легко идется по знакомой легкой дороге вниз. Вот первая гряда сераков. Как все изменилось! Сераки растаяли чуть ли не наполовину. Особенно неузнаваема дорога у озера: из трудно проходимой среди грандиозных сераков она превратилась в пустяковую. От нашего моста не осталось никаких следов: дорога и здесь упростилась — проходит теперь по берегу. Озеро разрослось и изменило очертания.

Устроился рисовать. Закончив акварель пика Коммунизма, нельзя было не соблазниться панорамой цирка пика Ворошилова. Но здесь, к сожалению, пришлось ограничиться рисунком. По богатству цвета это исключительное местечко.

Караван из маленьких фигурок прошел подо мною и исчез. Спешу вниз. Небольшой неприятный участок плит, остальное — крутые осыпи. Только посматриваю, чтоб сзади камень не влетел. Подбегаю к рюкзаку, с ходу на спину — и айда дальше! Подкрепиться даже не захотелось. До спуска прошел быстро, а под ним обнаружил и караван.

Опять морены. Лошади поскальзывают. Однако до подъема добрались удачно. Зато при попытке подняться по крутой и полуразрушенной тропе полетели вьюки. Пришлось лошадей выводить порожняком и вьюки подтаскивать наверх самим. Дорогу развезло здесь жутко. На южном склоне большие оползни сделали ее непроходимой. Обходы страшно плохо разработаны.

Часть каравана отстала. Начинает темнеть. Ну, будет работа! Народ там остался свежий. Доктор, оператор да носильщики — поблуждают. Караванщики нагонят — выведут.

Догнал ребят. Идем в потемках, отгадывая дорожку. Она кажется бесконечной. Из лагеря усердно кричат и палят. Вдали появился огонек. Он все ближе, ближе и вдруг вынырнул из-за холма совсем рядом. Э! Абдурахман, Шибшов, Алеша!

— Ну, хоп, валите навстречу караване!..

Огонек зашатался и начал удаляться...

Караван и остальные застряли крепко, нужно выручать. Однако сейчас так темно, что помочь чем-либо трудно, а лучшего проводника, чем ушедший навстречу Абдурахман, не найти. Придется ждать. Подкрепились кииком (остатки от загубленной Мишей пары), вдоволь почаевничали.

Тем временем луна осветила вершины и полезла на ледник. Ну теперь, пожалуй, придут! Действительно, снизу слышны голоса, бряцание копыт. Показались люди, лошади. Идем навстречу.

— Ну как, все? — спрашиваем.

— Нет. Часть осталась ночевать там, на подъеме.

Оказалось, застрявшие поднимались пешком, что было нелегко и Николаю Петровичу и Александру Федоровичу, а затем начали путать и решили заночевать. Поставили палатки и в общем устроились неплохо. Хорошо, что караван дошел.

Чудесно выспались под открытым небом.

*9 сентября.* Рано утром отправили к «осажденным» гонцов с питанием и лошадьми.

Чудесное ясное утро, чувствуем себя после холода и снега как на курорте. Обстоятельное омовение сопутствует плотному завтраку. А как приятно печет тело, расставшееся со штурмовками, горячее солнце! Вот и последние, говорят, продвигаются. Сейчас настроение у всех хорошее. Опять у озера вырос большой лагерь.

В связи с успешным окончанием восхождения носильщики устроили сабантуй с чехардой и цыганской борьбой. Фурор произвела схватка, в которой Абдурахман перевернул Елдаша — чемпиона, уже сугубо тяжелого веса. Веселы — резвятся, смеются.

Меня, наконец, осмотрел доктор и нашел мое состояние исключительно хорошим: даже пульс 62 удара.

Наши планы таковы: под редакцией Николая Петровича составить телеграмму ЦК Партии и Правительству. Маслаев, оператор, я и еще несколько человек должны дойти до метеорологической станции и оттуда по радио передать ее в Москву. Николай Петрович показал нам на карте две точки, где может находиться метеорологическая станция. С тем и пошли.

Пройдя первую речку, повстречали наших охотников, весь цвет: Миша, Юра, Антон. Они забрались высоко, но кииков не видали.

И стало темнеть. С Перевала пяти услышали внизу голос. Оказалось, оператор преодолевает нижнюю часть спуска. Спустились чуть не ощупью. Никакой видимости. Прошли немного, вдруг еще один знакомый голос...

— Аркадий Георгиевич! Вот встреча!

— Ну, поздравляю! Мы хотим добраться к Подгорному лагерю. Со мною художник Котов.

Консервы взяли очень кстати. За чаем пришлось коротенько рассказать историю восхождения. Уже забравшись в спальный мешок, долго беседовали с Котовым. Рассказывал об Алтае (он тоже сибиряк, из Томска). Говорили об искусстве.

Взошла луна. Картина кругом столь мощная и сказочная, что долго не мог уснуть.

*10 сентября.* Встал с восходом солнца — решил сделать наброски пика Коммунизма и соседних вершин. Поднялся на чудесную скалистую гривку. Маслаев меня сопровождает. На соседней гривке увидал наших охотников. Кики и на этот раз не желали, видимо, их баловать. Стала очевидна вся безнадежность дальнейшей охоты.

Хороший вид способствовал желанию подняться еще выше. Маслаев, упорно шагавший за мной, не выдержал и сел. Я занялся рисунком. Внизу прошел наш караван. Маслаев начал спуск и быстро исчез. Сделав три наброска, начал спускаться и я.

Внизу застал еще Аркадия Георгиевича и бородатого дядю, никак не подозревая, что это и есть художник Котов, с которым я разговаривал ночью. Продемонстрировал свои наброски вершин под хвалебные гимны Аркадия Георгиевича и поддакивание бородатого.

Распростившись с товарищами, быстрым шагом подался вниз. Караван остановился недалеко, и вскоре я его нагнал.

Мои спутники, рассчитывая вернуться сегодня, оставили свои рюкзами караванщикам. Посему и я решил пойти налегке, оставив также рюкзак у караванщиков. Засунув альбом за рубаху, с подбежкой зашагал к «чертову гробу».

Вот и озеро в глубине, обходная по крутой насыпи тропа уже хорошо разработана. Какой изумительный отсюда цирк Калинина, я раньше и не замечал! Подъем, тропа крутит по морене. Впадина «чертова гроба» пуста. Вот

и перевал выползает меж острых пиков. Знакомые места! Юрта подстанции. У входа кинооператор. Он совсем недавно здесь. Маслаев не появлялся. (Без приключений не может).

Радушные хозяева (два техника-строителя станции и караванщик, здоровенный киргиз Козыбай) угощают нас супом из кутаса*.

Тревожит судьба радиста Маслаева. Пошел навстречу. Вышел на морену — вижу уже к самому низу спускается фигура. Маслаев!

— Где ты пропадал? — спрашиваю.

— Очень высокий перевал. Лез, лез... Осыпи очень крутые, сыплются... (Представляю, какой грохот был!). Устал очень.

— Ну, хоп. Подзакуси, да пойдем! Времени уже много.

Я расспросил зимовщиков о дороге к станции. Надо было идти по леднику, а там на выступе будет видна станция куполообразной формы, издали похожая на камень. Вышли на морену.

На льду, поджидая отставших, сделал пару рисунков. Вдали увидел что-то похожее на станцию. Расстояние показалось подходящим. Правда, не совсем совпадала форма, но на камень во всяком случае было похоже. Объявил о своем открытии. Все смело зашагали вперед.

Но чем ближе мы подходили, тем все больше нарастало скептическое отношение к моему открытию. Подойдя вплотную, убедились, что это-таки действительно камень. Огляделись несколько растерянно. Новых признаков станции не обнаруживалось. Уныло пошли вперед, шаря глазами по склонам. Я опять намного опередил остальных. Маслаев несколько раз палил. Мы упорно кричали, но, увы, все без ответа...

Солнце зашло за хребет. Холодная тень легла на ледник. В коротеньких штанишках и рубашке начало крепко пробирать. Дошел до последнего большого массива, дальше которого предполагать существование станции трудно — ни одного подходящего места. Решил податься обратно. Посредине ледника резво прыгаю через трещины.

Вот и наши тащатся. Усомнились в существовании станции и тоже очень озабочены. Достали карту, и тут

* Кутас, или як,— крупное жвачное животное.

я впервые установил, что эти две точки, указанные нам Горбуновым, находятся здесь. Ближняя примерно у места, куда мы подошли, а вторая у самого Кашал-аяка. Это обстоятельство смутило. Что ж, придется еще пошагать!

Хребты потемнели, лишь левые вершины еще блестят на солнце, отливая сталью; ледники бурно, ледопадами сбегают из боковых ущелий и успокаиваются на леднике Федченко, покрытом темно-синей тенью, с черными дорогами морен. Только «Шпора» с огромными пологими фирнами сияет белизной.

Неожиданно впереди, вдали на морене, что-то задвигалось. Всмотрелся — лошади и люди идут навстречу. Спешу вперед. Наконец, поравнялись.

— Салям алейкум! Станция где?..

Караванщик показывает рукой на последний выступ. О-го-го! Далековато! Считая дальнейшие расспросы бесполезными, пошел по направлению к выступу. Пройдя порядочно, решил перейти ледник. Маленькими точками движутся позади остальные спутники. Ледник в этом месте спокойный. Переходить легко. Впереди впадина и моренка, отделяющая ледник Федченко от ледника, впадающего слева.

Перешел по морене еще кусок ледника, и вот видна уже дорожка по фирну вверх, к станции. Начало темнеть. Длинный кусок фирна вывел к скалам, а по ним уже нетрудно было добраться и до цели. Вначале показывается красный флаг, затем большое, как ангар, здание станции...

Прошло много времени, когда, наконец, появились остальные.

Встала проблема ночлега. Учитывая наше южное одеяние и отсутствие рюкзаков, пришлось выдать нам серьезное отепление.

*11 сентября.* Спал совершенно изумительно. Наконец стало жарко, пришлось раскрыться и одеться. Видимо, по случаю нашего прихода налегли на мясо. Поваренок отлично с ним расправился и сотворил вкусные вещи. Все попытки Маслаева связаться по радио с Ташкентом пока еще не увенчались успехом. Оператор уже вдоволь натрещал кинамой.

Покончив с делами и поручениями, я заинтересовался исключительным по мощности пиком Комакадемии. Спешу сделать набросок. Рядом с левой стороны, значительно

глубже, еще пик. По моему определению — Дарваз. Меня оспаривают. Разложив карту, по компасу определяем направление — совпадает. Торжествую. Тут же подоспел неутомимый оператор. Трещит кинамка, запечатлевая нас с картой в руках. Я решил пойти исследовать Кашал-аяк.

Станция стоит на скалистом выступе, уходящем глубоко в ледник. Ледяные массивы, наталкиваясь на него, образуют большой ледопад, довольно значительно расщепленный. Первая же ледяная стенка заставила меня прибегнуть к помощи ледоруба. Ступени приходится рубить тщательно, ибо стена почти отвесна. Под душем струй с верхнего края спешу пробиться кверху. Острый ледяной гребень — и опять без ледоруба не обойтись. Срубаю острие гребня и, балансируя, продвигаюсь вперед.

До ровного места осталось траверсировать крутой склон. Но, сделав два шага, вдруг проваливаюсь в яму, наполненную водой и затянутую ледком. Хорошо — неширока, задержался руками. Выскочил по пояс мокрый. «Приятная ванна».

Не успел пройти и пяти шагов, как нога опять свободно пошла вниз. Вынужден осев на одну ногу, почувствовал довольно резкую боль ниже колена. Высвободить ногу — пустяк. Посмотрел на другую — неприятный глубокий разрез от подвернувшегося острого камня. Удачно спустившись до ровного фирна, протер рану снегом и перевязал платком. Рана кровоточила слабо, хотя пробито до кости. Решив, что срывать поход из-за ерунды не стоит, быстро зашагал к перевалу.

Вначале ровное поле расщепилось трещинами и чем дальше, тем более неприятными.

Трещины здесь носят особый характер, отличаясь колоссальной глубиной и шириной. Сверху они мало заметны, едва расходятся, но ниже образуют громадные вместилища. Разодранные, соединенные мостами карнизы нависают бахромой колоссальных сосулек. Заглянешь, внизу сказочные, иглистые, переливающиеся отсветами гроты. Но попасть в них — значит остаться там навеки.

Учитывая свое одиночество, пробираюсь особенно осторожно. Аккуратно перепрыгиваю узкие щели, обхожу широкие. Понемногу щели оттесняют меня вправо. Целая система еще более широких трещин окончательно заставляет свернуть к цирку Комакадемии и сделать большой



415

*Памирская метеорологическая станция на леднике Федченко.*
Рисунок Е. Абалакова

обход, который очень удачно вывел меня из лабиринта трещин.

Перейдя снежную гривку, иду дальше, уже по прямой, к перевалу. Пологие скаты изобилуют трещинами колоссальной ширины и длины. Прощупывая путь, продвигаюсь к черте перевала. Пик Комакадемии, заслоняемый ближайшими вершинами, вновь выполз в новой форме, еще более отвесный и мощный.

Солнце хорошо греет. Иду в очках, досадно, что очки так меняют цвета, хотя яркость остается почти та же. Слева «Шпора» сияет фирнами, лишь в некоторых местах обнажая скалы. У самого перевала плато становится почти совсем горизонтальным и даже трудно установить, где место перевала.

Прошел еще порядочное расстояние и, наконец, начался легкий спуск. Направо открылись изумительной красоты вершины. Как перламутр, переливаются отвесные

стены и убегающие смелыми зигзагами острые гребни. Ледники чешуйчатыми стенами заполняют низины. Я дошел до встающей неожиданно, как нос корабля, привки, разрезающей ледник с правой стороны. Здесь начался лабиринт трещин.

Сел и принялся за наброски. Почти панорамой, подряд, зарисовал все до пика Комакадемии. Затем отошел на середину ледника и набросал его спуск и синеющий вдали хребет Ванча. Пройдя на левую сторону, попытался оттуда разглядеть вершину, принятую мною за вершину пика Коммунизма, и сделал еще один набросок. В дальнейшем при проверке оказалось, что эта вершина к пику Коммунизма имеет мало отношения; пик расположен восточней. (Во всяком случае отсюда вершина должна быть видна, потому что с подходов к Кашал-аяк мы чудесно видели ее).

С Дарвазом вышло не совсем удачно. Не захватив с собой карты, я не мог сразу сориентироваться. А после по рисункам разобраться было нелегко. Однако предположение о местонахождении данной вершины осталось. Думаю, что оное название носит вершина, открывающаяся всем массивом с перевала — первая большая вершина влево от Комакадемии. Влево от этой вершины уходит глубокий цирк, с сильно оснеженными, тоже мощными вершинами и значительным ледником. Левая сторона заканчивается еще одной вершиной с крутыми ребрами, уступами спускающимися к леднику Географического общества.

Времени прошло много. Сделав еще набросок пика Комакадемии, начал с подбежкой спуск. Переваливая гребень в обратную сторону, пытаюсь найти старые следы — и не могу. Лишь в конце спуска натыкаюсь на них. Первую обходную часть прошел по следам, но у трещины потерял их и пошел прямо, в направлении станции.

Нога тревожила несильно, часто я совсем забывал о ней. В общем, событиями остался доволен, особенно после огромной порции жирного супа, приподнесенного мне симпатичным парнишкой-поваром.

Набросок станции из-за темноты не закончил, решив доделать его утром. Здание станции необычайно как по форме, так и по месту расположения. Если бы заранее не знал, что это станция и что здесь есть люди — не поверил бы своим глазам.

Сплю опять в той же палатке и не менее крепко. Немного тревожит снег, загоняемый в окошечко ветром.

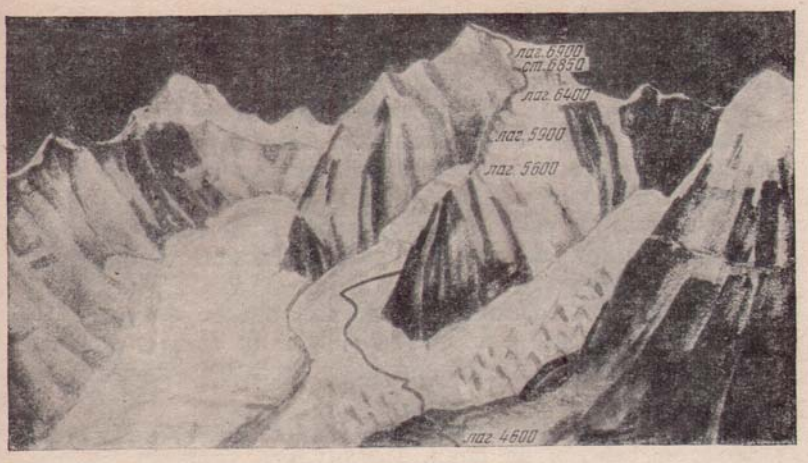


*Схема маршрута восхождения на пик Коммунизма и расположения лагерей*

*12 сентября.* Метет. Бледное утро. Туман. Так и не пришлось сделать порядочный рисунок станции. Вчерашний наскоро кончаю из палатки. Ждем лошадей. Их запорошило снегом, они жмутся. Седла вьючные, деревянные. Наконец распрощались с гостеприимными хозяевами.

По фирну ведем лошадей за повод. Часты скрытые трещины и нужна осторожность. Перед трещиной лошадь подбирается и затем быстро перепрыгивает, иногда чуть увязая задними ногами. На леднике все сели верхом. Лишь я еще долго веду своего «рысака» на поводу. Жаль, уж больно маленький конишка! Впечатление такое: как сядешь — так завалится. Но совершенно неожиданно этот пигмей оказался дюжим и симпатичным коньком. Он изумительно знал дорогу, редко спотыкался и хорошо выводил из лабиринта трещин.

Вершины скрыты в тумане. Неприкаянными бродят клочья облаков. Внезапно тишину нарушил страшный грохот. Оборачиваемся — ничего не видно, лишь несколько позже из-под завесы выскочили громадные каменные бомбищи. Они снарядами рвутся по скалам и осыпи, шрапнелью засыпают склоны и, нашумев, успокаиваются на леднике. И вдруг опять грохот, и снова громадными прыжками, словно с облаков, валятся каменные глыбы. Пыль завесой долго ползет по склону.

*139*

Козыбай успевает всюду: то впереди идет, то отбивающихся боковых коней в строй вводит, то отставших подгоняет, иногда рысцой, разбрызгивая талый снег и лужи, разгоняет лошадей. Быстро уходят назад хребты и ступени боковых ледников. Уже недалеко и подстанция. Скорей бы! Импровизированные веревочные стремена начинают выворачивать щиколотки.

Знакомые морены, где дорожка выписывает восьмерки, а лошади скользят и судорожно цепляются на крутых спусках и подъемах.

Подстанция. Обжигаемся жирным супом из кутаса. На фанерном ящике расставлены кружки, сахар, печенье. Ждем чая. Получили громадную пачку газет и писем. Увы, мне ничего нет.

Козыбай опять наседает на нас — торопит. С явной неохотой сажусь на коня. Потянулись тени от хребтов. Решил — доеду как-нибудь до морены, а там уже обязательно поведу коня на поводу, ехать нет никакого терпения.

Шумят речки в ледяных желобах. Сверкают и журчат бесчисленные потоки, покрывая водяной сеткой ледник. Сдавило лед моренами, полоса его уже совсем неширокая, бугрится гривкой. Моя лошадь прошла.

Хороший выход на гривку. Решив сойти несколько позже на явно крутом месте, я доверился лошади. Судорожно цепляясь копытами, залезла почти доверху и... не осилила, скользнула и съехала. Едва успел кое-как задержать. Остальные давно уже идут пешком.

Вдали показался лагерь.

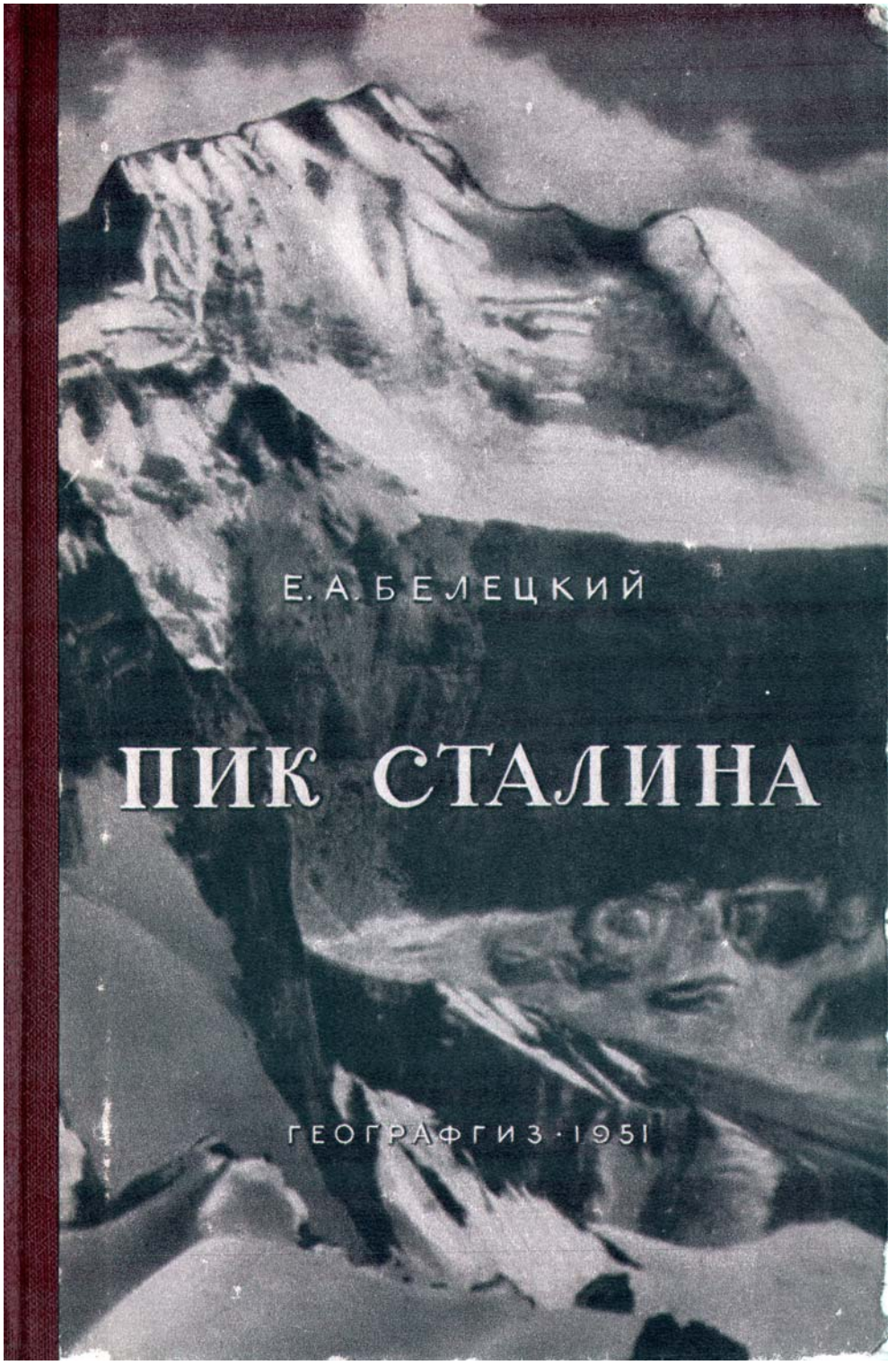
Е. А. БЕЛЕЦКИЙ
ПИК СТАЛИНА
ГЕОГРАФГИЗ · 1951

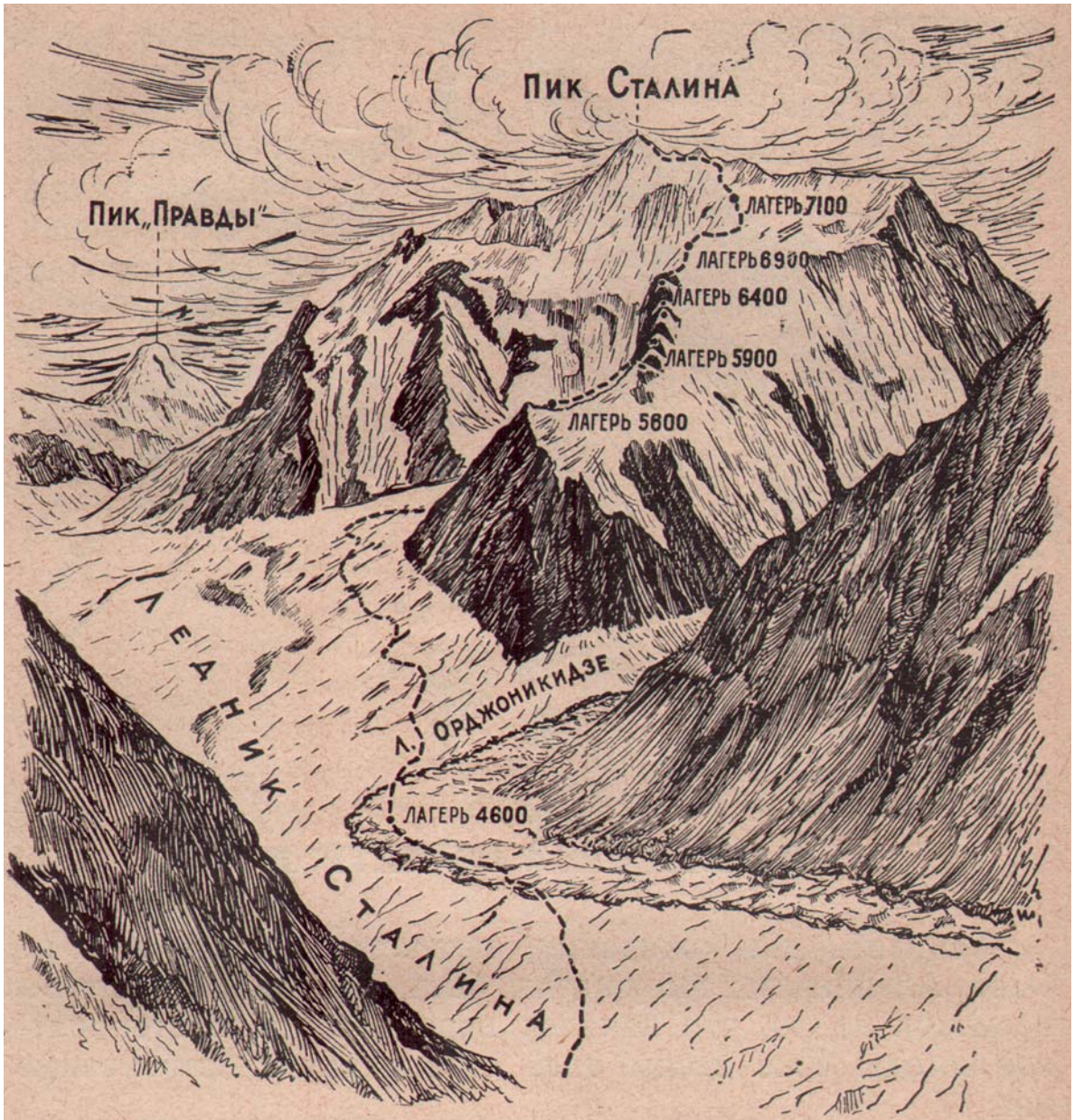


Схема пути восхождения на пик Сталина (1933, 1937 гг.).
*(Схема выполнена участником восхождения Н. А. Гусаком).*

## 63 rocznica pierwszego przejścia *Wariantu R* (WEGA t. III, str. 641) na Mnichu

63 rocznica, wprawdzie nie jest okrągła, lecz na pewno już warta przypomnienia, choćby po to, żeby się spotkać z tymi – już niestety nielicznymi – którzy przechodzili tę drogę, gdy była najtrudniejszą w Tatrach. Próby przejścia *Wariantu R* podejmowane były przez najlepszych polskich taterników już od 1939 roku. Przejście powiodło się dopiero w październiku 1955 roku Janowi Długoszowi i Andrzejowi Pietschowi. Poprowadzona środkiem wschodniej ściany Mnicha, droga ta była pierwszą, która trudnościami technicznymi przewyższyła słynne, do tej pory, najtrudniejsze w Tatrach, hakowe *Drogi Łapińskiego i Paszucho*wy na Galerii Gankowej i obok, na wschodniej ścianie Mnicha. Co prawda, w tym samym roku, ale nieco wcześniej, J. Długosz poprowadził na Kazalnicy Mięguszowieckiej nową drogę z jednym równie trudnym wyciągiem hakowym, jednak przez kilka kolejnych lat (aż do przejścia *Filara Kazalnicy* w 1962 roku) *Wariant R* był miernikiem najwyższych trudności pokonywanych w Tatrach. Każdy szanujący się taternik starał się mieć tę drogę w swoim wykazie przejść.

Próby przejścia: 1939 Zdzisław Dzięddzielewicz, Zbigniew Kubiński, Czesław Wrześniak, Stanisław Wrześniak (do kilku metrów ponad „M"); 23.07.1942 Czesław Łapiński, Kazimierz Paszucha (do 30 m od półek); 1952 i 1953 Jan Długosz, Jerzy Wala; 14-15.08.1955 Adam Bilczewski, Jan Długosz, Czesław Momatiuk (na odcinku do okapu, wbili 4 nity).

**1. przejście:** 12-13.10.1955 Jan Długosz (WEGA t. VI, str. 200), Andrzej Pietsch (WEGA t. VI, str. 602), od półek do okapu po linie pozostawionej przed dwoma miesiącami.

**2. przejście:** 07.1958 Czesław Momatiuk i Adam Wojnarowicz (bez korzystania z nitów).

**3. przejście:** lato 1959 Zbigniew Jurkowski, Andrzej Nowacki.

**4. przejście:** lato 1959 Janusz Hierzyk, Ryszard Zawadzki.

**5. przejście:** lato 1959 Janusz Jeleński, W. Wasilewski.
[03.1960 kręcenie filmu *Wariant R*, w trakcie którego Lechosław Utracki i Jerzy Warteresiewicz (aktorzy) przechodzą tę drogę; towarzyszy im też ekipa wspomagająca: Jan Długosz, Zbigniew Jurkowski, Czesław Momatiuk, Andrzej Wilczkowski].

**6. przejście:** 24.08.1960 Józef Nyka, Adam Szurek (u góry z nowym wariantem wprost na wierzchołek).

**7 (12?). przejście:** 5.08.1961 Julius Kertesz i tow. (Duro ?)

**8. przejście:** 2.09.1961 Krzysztof Cielecki, Wojciech Brański.

**9. przejście:** 28.09.1961 Eugeniusz Chrobak, Andrzej Mróz.

**10 (15?). przejście:** lato 1961 Jerzy Rudnicki, Adam Zyzak.
[latem 1961 roku w sumie 11 przejść].

Jan Długosz

**?. przejście (1.p. zimowe):** 4-6.12.1961 Eugeniusz Chrobak, Tadeusz Łaukajtys. ?.p.(1.p. kobiece): 1.07.1962 Bronisław Kunicki, Aleksandra Pawełczyk(-Kunicka).

**?. przejście (1.p. w zespole kobiecym):** 29.07.1962 Halina Krüger, Janina Zygadlewicz.

**?. przejście (2.p. w zespole kobiecym):** lato 1962 Jolanta Jarecka, Krystyna Lipczyńska.

**?.przejście:** 27.08.1963 Wojciech(?) Jesionka, Andrzej Mróz.

**?. przejście:** lato 1963 Jacek Woszczerowicz i tow.

**?. przejście:** lato 1963 Wojciech Biederman i tow.

**?. przejście:** 27.08.1964 Jan Kiełkowski, Krzysztof Pływacz

**?. przejście:** lato 1964 Elżbieta Miszczak, Janusz Śmiałek.

**?. przejście** (4.p.z.): przed 1965 Andrzej Kurowski, Ryszard Sałęga.

**?. przejście (1.p. samotnie):** lato 1965 Eugeniusz Chrobak solo.

**?. przejście:** 24.08.1967 B. Ivan, K. Strakos, I. Szenthe.

**?. przejście:** lato 1967 Andrzej Byczkowski i tow.

**?. przejście:** lato 1967 Wojciech Jedliński i tow.

**?. przejście:** lato 1967 Piotr Skorupa i tow.

**?. przejście:** 03.1972 Daniel Bakoš, Milan Kriššák.

**?. przejście (2.p. samotnie):** przed 1973 Jerzy Pietkiewicz.

Andrzej Pietsch

**?. przejście:** 1975 Zbigniew Czyżewski i tow.
**?. przejście: (3.p.samotnie):** Tadeusz Karolczak.
**?. przejście** (?.p.z.): 12-13.03.1980 A. Raczyński i tow.
**?. przejście (1.p.kobiece samotnie):** 21-22.06.1982 Katarzyna Sapyta.
**?. przejście** (?.p.z.): 12.1983: Loska, Andrzej Pusz (z przejściem dolnej części ściany, 2 dni).
**?. przejście** (?.p.z.): 16,17.03.1986 D. Grzelewski, J. Trybus (z przejściem dolnej części ściany).
**?. przejście:** 20.07.1991 Piotr Dawidowicz, M. Wayda (1.p. bez stosowania techniki hakowej).
**?. przejście:** 24.08.1991 Piotr Korczak, Robert Wollek (2.p. bez stosowania techniki hakowej).
**?. przejście:** 4.09.1991 Piotr Drobot, J. Łątka (3.p. bez stosowania techniki hakowej).
**?. przejście:** 14.09.1991 A. Król, Stanisław Piecuch (4.p. bez stosowania techniki hakowej).
**?. przejście:** 20.06.1992 M. Chmieliński, Piotr Dawidowicz (z 1.p. bez stosowania techniki hakowej *wariantu Nyki* w górnej części drogi).
**?. przejście (1.p.zimowe samotnie):** 4.02.1993 Jacek Czech.
**?. przejście: l**ato 1994 J. Kuzynin, Dariusz Sokołowski (przejście bez stosowania techniki hakowej oryginalną linią hakową).

Lista ta wymaga na pewno wielu uzupełnień, więc z niecierpliwością na nie czekamy!
Wszystkich już zapraszamy na wspólne zdjęcie zdobywców *Wariantu R* w ostatnią sobotę września w Skałkach Rzędkowickich.

*Jan Kiełkowski*

Poniżej zamieszczamy opis pierwszego przejścia tej drogi z drugiego wydania (Wydawnictwo ATI, 1995) książki Jana Długosza *Komin Pokutników* (rozdział *Ściana lęku*). Fragmenty tego opowiadania Jan Długosz opublikował po raz pierwszy w „Taterniku" nr 2/1960, we wspomnieniu *Coś się kończy*. I to wspomnienie z „Taternika" ze względów sentymentalnych przypominamy jeszcze raz na końcu.

Andrzej, uważaj! — wołam z rozpaczą w głosie i odrywam nogę od płyty. Żegnam ziemię i zaczynam wirować w powietrzu jak bączek.

— Dociągnij jeszcze trochę!

— Dobra — odpowiada. Nic nie pomaga, dalej nie mogę złapać równowagi i kręci mną na wszystkie strony.

— Mocniej!

— Więcej się nie da, lina się klinuje!

Nerwowo wiercę się w ławeczkach, szukając jedną ręką odpowiedniego haka do wbicia.

— Uważaj, młotek! — krzyczy Andrzej.

— Coo?

— Młotek ci wypadł…

Rzeczywiście, zwisa na naprężonym sznurku w dół, pokazując prawdziwy kierunek ziemskiego przyciągania.

Nad głową zamyka się prawie poziomy dach skalny. Dyndam twarzą w górę, w głęboko, prawie po biodra nasuniętych ławeczkach, i tylko skóra pleców instynktownie wyczuwa te trzysta metrów pustki, dzielących ją od Mnichowego Żlebu.

Znalazłem już potrzebny hak; wychylam się jak najdalej do przodu, wtykam go w szczelinę i zaczynam wbijać. Trwa to długo, mięśnie rąk sztywnieją i uderzenia stają się coraz słabsze… „No, więcej się nie da…". Wpinam jakoś karabinek i linę.

— Idę dalej! Uważaj, hak może wylecieć!

I teraz dopiero zaczyna się cyrk. Wyjmuję nogę z ławeczki i – wirując na jednej tylko pętli – wieszam uwolnioną ławkę na górnym haku. Głowę mam w dole i nie mogę włożyć stopy pomiędzy beztrosko balansujące

metalowe szczebelki. Dosięgam ich wreszcie i podsuwam pod kolano... „Teraz tylko się przesiąść".

— Dociągnij! — krzyczę.

Łapię ręką za hak, przez moment zawisam tylko na niej, chwila wysiłku – i siedzę w górnej pętli. Niestety, sufit zaczyna się zaraz nad moim nosem i nadal muszę pozostawać w niewygodnej, na wpół leżącej pozycji. Po godzinie czy dwóch przyzwyczajam się, świadomość zawęża się do kilku otaczających mnie metrów przestrzeni, przestaję bać się, że hak wyleci, zatracam poczucie pionu i głębi. Przed oczyma mam lekko uciekającą w górę skałę, z jednym małym pęknięciem; ono ma mnie doprowadzić do „ziemi obiecanej". Jestem w tej chwili absolutnym obrazem tępoty lub przykładem ograniczonego fachowca technicznego. Oprócz koniecznych ruchów i wkutego na blachę arsenału pojęć wspinaczkowych – zniknęły wszystkie inne myśli. Tyle tylko, że coraz bardziej bolą mnie powyginane kości, jestem zmęczony i chciałbym, żeby ten dach już się skończył.

— Andrzej! Jak daleko do płyty? — wołam.

— Dwa, trzy metry...

— Dobra.

— Ach, żebyś ty siebie widział!

Nie odpowiadam, wcale nie mam ochoty na oglądanie siebie! Nie mam zresztą ochoty absolutnie na nic: ani na tort czekoladowy, ani na Sophię Loren, ani na milion dolarów. Chciałbym tylko być dwa metry wyżej!

W końcu dochodzę do skraju okapu i widzę już przylepioną w przewieszkach płytę...

— Andrzej — wołam — tam będzie można iść klasycznie!

— Dobra, dobra — odpowiada bez większego przekonania — najpierw wyleź.

Godzinę później siedzę już prawie wygodnie na pętelkach u stóp płyty. Wiedziałem o niej dawno i niejedna bezsenna noc obciąża jej sumienie. Z daleka podobna jest do małej brazylijskiej rybki piranii – słynnej z ostrych jak brzytwa zębów, którymi potrafi rozerwać każde, nieopatrznie wchodzące do wody stworzenie. Prawie okrągła, o owalnych, lekko spłaszczonych końcach, różowo-biało-popielata, z dwiema ciemnymi poprzecznymi pręgami – zupełnie jakby wyjęta z akwarium. Reszta przewieszek jest gładko skrzesana, bez rys – i tylko tędy może biec droga. Ale płyta-pirania, ważąca na pewno ładnych kilka ton, ma jedną wadę: jest ze wszystkich stron odpęknięta. Nawet z przeciwległego filara Cubryny widać głębokie, ciemne szczeliny. Jakim cudem jeszcze się trzyma nie wiadomo, ale nawet jeden nieostrożnie wbity hak i *requiescat in pace* !

Ktoś z moich przyjaciół zakwestionował kiedyś prawo do naprawdę silnych przeżyć. Dowodził, że istnieje podyktowana stanem nerwów granica rozpaczy czy strachu, a kiedy się ją przekroczy, występuje zjawisko narkozy

psychicznej i zobojętnienie, ratujące przed całkowitym załamaniem. Myślę, że miał rację; boję się teraz znacznie mniej niż rok temu, kiedy rozważałem nasze szanse. Wtedy miałem jeszcze jedno wyjście: mogłem w ogóle nie pójść – a dziś…

Lina idzie opornie poprzez zawiłe kombinacje karabinków. „Muszę ściągnąć Andrzeja pod przewieszki" — myślę.

— Chodź! — wołam.

— Dobra… Likwiduję stanowisko.

Trwa to długo. Wybija haki, przesuwa się wolno trawersem, a w końcu znika pod okapem.

Zaczyna być zimno. Czyżby było już tak późno? Niebo poczerwieniało, powietrze gęstnieje w przedwieczorną mgłę, a słońce chowa się za Wrotami Chałubińskiego.

A więc noc; noc, jakiej nigdy nie miałem i chyba już mieć nie będę. Samotnie, na wątłych deseczkach, w największym ze znanych mi okapów.

— Andrzej, będziemy tu biwakować?

— Chyba tak.

— To urządź się jakoś, zjedz i podeślij plecak.

— Dobra.

Zanim spod nóg wyłonił się mały chlebaczek, zdążyłem się zdrzemnąć. Jedzie w górę na transportowym sznurze jak dziecięca kolejka linowa.

Kolacja; trochę słoniny, chleb, kawałek suszonej kiełbasy. Wyciągam jeszcze „nogę słonia"* i plecak wędruje z powrotem. Zdaję sobie sprawę, że w tej niewygodnej pozycji trudno będzie wytrzymać noc. No cóż, z duszą na ramieniu wbijam delikatnie dwa haki pod płytę i plotę sobie z liny rodzaj hamaka. Na stopy w ławeczkach naciągam „nogę słonia".

Jest połowa października i dość silny mróz, ale gdybym twierdził, że bardzo zmarzłem – skłamałbym. Jestem w jakimś dziwnym stanie – wiem, że tym razem to ostateczny obrachunek ze ścianą.

Trzy lata temu stanęliśmy po raz pierwszy u jej stóp. Jurek Wala miał charakterystycznie skrzywioną twarz. Mrużył oczy patrząc na gładkie płyty…

— To, panie — mówił — beznadziejnie wygląda… Nie wiem, panie, czy damy radę!

Piąłem się wtedy w górę, ku starym zardzewiałym hakom. W dole płynęły mgły, a koło „bacówki Jaśka"**śpiewali górale… To był mój pierwszy dłuższy podciąg. Haki siedziały źle, bałem się lotu. A potem

* „noga słonia" – uproszczony śpiwór puchowy, sięgający tylko do piersi

** szałas pasterski Jaśka Murzańskiego na Hali pod Mnichem, istniejący w czasach Długosza.

zawisliśmy na pętelkach; nie wiadomo, gdzie góra, gdzie dół, wychodziłem coraz wyżej, sylwetka Jurka uciekała w głąb, a ja się bałem. Boże, jak się bałem!

Dwie małe szare kuleczki, przytulone do ogromnej pionowej ściany, wiszące na kiepskich sznurkach, kawałkach dykty i żelaznych blaszkach, wbitych w minimalne pęknięcia płyty. Nie podobało mi się to wcale. I Jurek też się chyba nie cieszył. Komu zresztą mogło by się podobać takie dyndanie – pod piętami trzysta metrów powietrza, a w górze kamienny dach.

Zbliżał się wieczór. Ostatni hak Łapińskiego był najwyżej dwa, trzy metry wyżej; strach, przybierając postać rozsądku, kusił do odwrotu. I wtedy zobaczyłem pomurnika. Bajecznie kolorowy ptaszek, trzepoczący skrzydłami jak egzotyczny motyl, przyfrunął, okrążył mnie kilkakrotnie ciekawie, a potem usiadł obok na płycie. „Jakim cudem stąd nie zlatujesz, wielka góro mięsa? — zdawał się pytać. — Co ty tu właściwie wyrabiasz i po co?" Przeginał główkę i zaglądał mi pod nogi, jakby chciał podpatrzyć, czym jestem przyczepiony do ściany.

Uśmiechałem się. „Po co?" – żebym to ja sam wiedział!

Ale strach zniknął, w górę było jeszcze tylko trzy metry... Tylko trzy metry – nie wypadało sprawić pomurnikowi zawodu.

Odtąd do uczucia zadowolenia po najpiękniejszej nawet wspinaczce mieszała się nutka niepokoju. Rok później wróciłem tu znowu i też noc zastała nas przy powrocie.

Teraz siedzę w ławeczkach i dokonuje się coś, o czym wiem, że teraz stać się już musi. Coś, co było treścią życia przez ostatnie trzy lata.

Dlaczego nie jestem zdenerwowany, nie rozmyślam lękliwie o jutrzejszym dniu, jakby nasze zwycięstwo było już pewne? Dlaczego moja niewygodna pozycja, nawet to, że mi zimno – wydaje się czymś najoczywistszym na świecie? Na okapie istniały tylko ławeczki, hak i rysa, którą trzeba było iść w górę. Znikła przestrzeń, czas, od dziecka wpajane prawa fizyczne, cały odwieczny porządek. Zostaliśmy razem ze skałą, jacyś wyjęci, wyizolowani z otoczenia. I tak właśnie jest dobrze.

Stąd odwrotu już nie ma... Jakby dla potwierdzenia tej prawdy, patrzę w czarną głębię pod nogami. Jestem sam, absolutnie sam – na najtrudniejszej drodze życia. Czuję się tak samotny, że przestaję nawet wierzyć, iż Andrzej wisi pode mną na pętelkach. Żeby się o tym przekonać wołam w noc, naśladując ryk lwa:

— Yuek aubrr! Yuek aubrr !!!

W dole otwiera się piekło, potężne echa odpowiadają z ciemności głosami potępionych mar. Ryki przewalają się, odbijają od wąskich ścian i mieszają z dziesiątkami wciąż na nowo powstających ech. Wrażenie jest

Wschodnia ściana Mnicha. Fot. G. Głazek

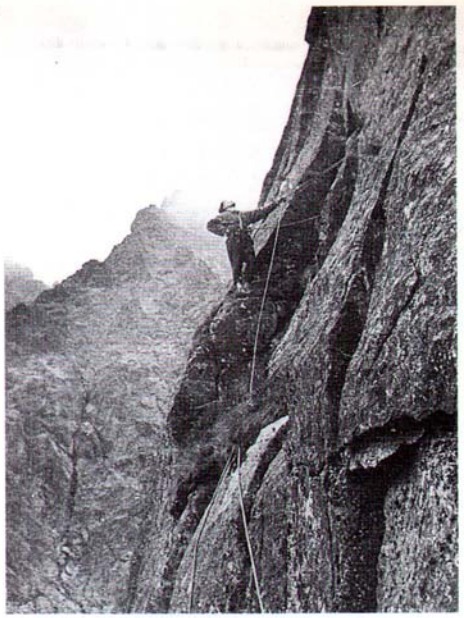

Fot. z arch. J. Długosza

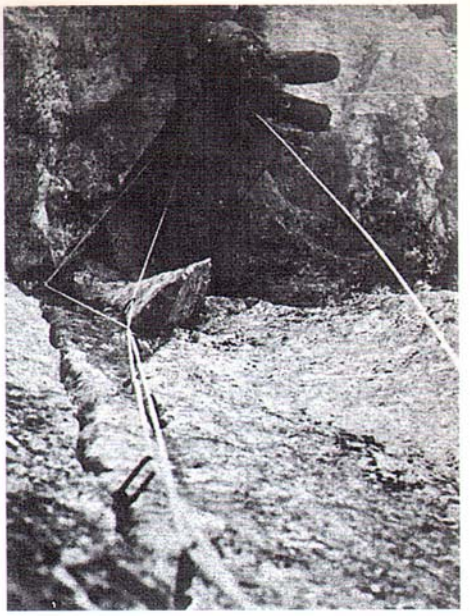

Fot. z arch. B. Kunickiego

NA WARIANCIE R.

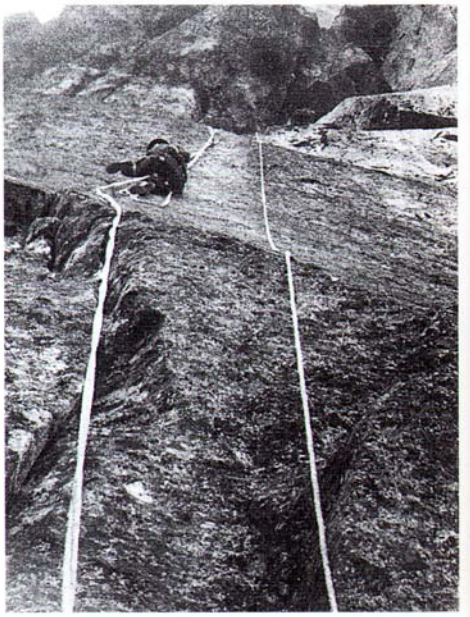

Fot. z arch. M. Baranowskiego

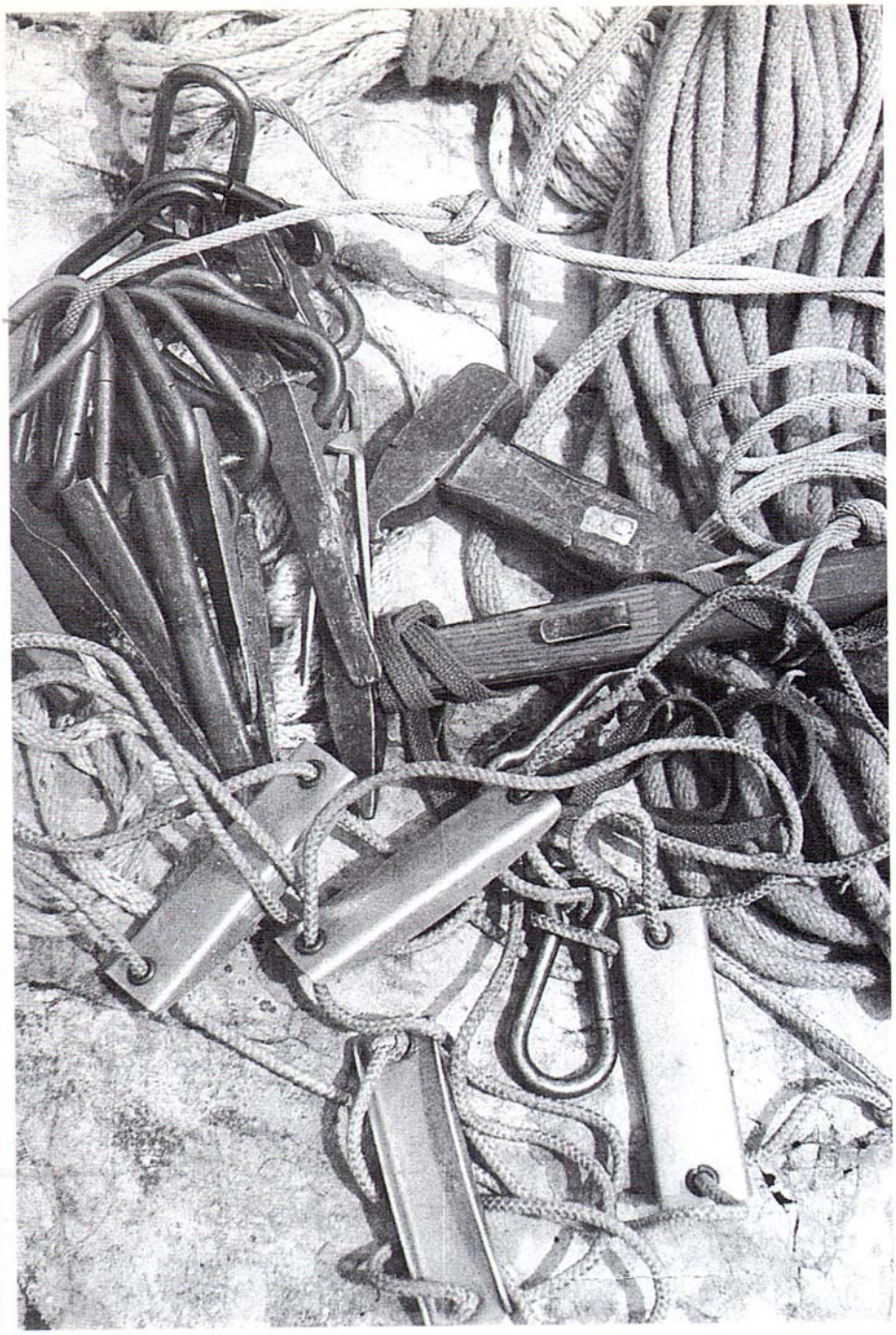

Sprzęt wspinaczkowy stosowany w połowie lat pięćdziesiątych. Fot. z arch. J. Długosza

silne, ale choć sam nastraszony, wrzeszczę raz jeszcze z jakąś dziką, rosnącą radością:

— Eouunghh!

Spod przewieszki dolatują mamrotane pod nosem klątwy:

— Zamknij gębę! Czyś ty zwariował?

— A bo co?

— Niech cię krew zaleje! Już prawie spałem, kiedy przez twoje kretyńskie wycia przypomniałem sobie, gdzie jestem. Przestań się drzeć!

Posłusznie przestaję. Gdzieś zza grani wyłazi księżyc, już widać jego rąbek. Naciągam głębiej czapkę. Powoli rozlewa się mroźne światło; pada na mnie, pełznie po płycie i rozjaśnia mrok żlebu. Nie można spać w takich warunkach.

Trzeci raz zjawiliśmy się tutaj jakieś dwa i pół miesiąca temu: Momo, Adaś Bilczewski i ja. Tym razem dobrze przygotowani, ze świetnym sprzętem i w formie. Adaś był chyba najbardziej zacięty. Krępa, zgrabna sylwetka, czerwone policzki i lekko wytrzeszczone z przejęcia oczy…

— Panowie — perorował zacietrzewiony — musimy wkosić, żeby nie wiem co!

A w kilka dni później, z lekka się swoim zwyczajem zacinając, opowiadał zasłuchanemu gronu:

— Eee, ten Mnich to pestka! Ale te psy, to była korba!

Czesiek Momatiuk. Jakże często zazdrościłem mu lekkomyślności, gdy bez namysłu wychodził po tkwiących na słowo honoru hakach, piął się na kruche przewieszki i śliskie płyty. A jednak tu, na Wariancie R – kiedy jako pierwszy człowiek dotarł pod okap i zobaczył co nas jeszcze czeka – trzeba było słyszeć jego głos:

— Jest zupełnie francowacie, haki nie siedzą! Mam to w …… Jak tylko coś wbiję, natychmiast złażę!

Pierwszego dnia, gdy Czesiek doszedł pod przewieszki, przepędził nas deszcz. Wytrawersowaliśmy trawiastymi półkami ze ściany i długo, długo po nocy tłukliśmy się po głazach Dolinki za Mnichem w poszukiwaniu jakiejś koleby. Nie znaleźliśmy…

W szumie wolno padających kropel zwlekliśmy się do Jaśkowego maleńkiego szałasu. Tam, grzejąc się przy watrze, popłakiwaliśmy od dymu, pijąc kwaśną żętycę. Bałem się nadchodzącego dnia – to była moja kolej. Wychodząc ze schroniska zlekceważyłem małe skaleczenie – dłoń spuchła jak bania i wyglądało to bardzo brzydko. Miałem wysoką gorączkę, ale nie chciałem powiedzieć, że nie pójdę.

Mglistym rankiem rozpoczął się ostatni akt. Mgły wałęsały się nisko – jak zasłona dymna przed atakiem. Po raz pierwszy pożegnałem wtedy ziemię i nie było mi lekko. A potem lunął deszcz. Adam wisiał w linii ścieku z kamiennego dachu i dosłownie topił się na płytach. Nie było mowy o dalszej walce. Mnich w pełni wykorzystał swój ostatni atut – pogodę.

Mokrzy, zgnębieni, pobici – wracaliśmy do schroniska. Jeszcze po drodze opadły nas Jaśkowe psy. Ja powędrowałem na tydzień do łóżka i szpikowano mnie penicyliną. Adaś i Czesiek rozjechali się w różne strony. Pozostała tylko wisząca spod przewieszek lina.

Księżyc aż razi w oczy, marzną mi nogi, więc stukam butem o but. Ławeczki gniotą uda, jak by nie było, to już chyba ze dwanaście godzin takiego siedzenia. „Ciekawe, czy Andrzej zasnął?"

— Andrzej! — wołam.

Cisza. Pewnie skurczybyk śpi. Kiedy ja wreszcie zasnę? Chyba nieprędko. Myślę o naszych jesiennych wspinaczkach, i o umowie, że w październiku...

Ale znużenie robi swoje, głowa opada parę razy w dół, mruczę pod nosem, stukam butami – a potem film się urywa...

*

Rano budzę się dość wcześnie, ale czekam na słońce. Stopniowo krew zaczyna krążyć szybciej, tają „sople" z nosa i ust, budzi się ochota do dalszej drogi. Znów w górę i w dół jedzie plecaczek z jedzeniem, potem długo wyplątuję się z hamaka i wreszcie ruszamy.

Jeden z dziwniejszych momentów, to kiedy Andrzej zaczyna wyłaniać się spod moich szeroko rozstawionych nóg. Najpierw, gdzieś tam w głębi, ukazuje się jego głowa. Potem, kiedy przeciska się tuż przy ścianie, odjeżdżam na ławkach coraz dalej w powietrze, tak, że nie dotykam nawet stopami do skały. Wygląda to jakby niósł mnie na barana; oddycham z ulgą, gdy mnie w końcu mija. Zaraz też wspina się dalej.

I znów płyną minuty, dziesiątki minut, godziny. Patrzę na zwisającą wolno, wybiegającą w bok linę transportową, która z każdym zdobytym przez „Picusia" metrem odsuwa się dalej od ściany... Już nie jestem automatem; spostrzegam i myślę, a to niedobrze – zaraz pojawi się wyobraźnia i strach. Andrzej zgwałcił przewieszkę, jest w depresji kilka metrów poniżej kolejnego okapu.

— No i jak tam? — pytam zaciekawiony.

— Trochę lepiej! Jakieś dwa, trzy metry raczej łatwo, ale wyjście będzie francowate, cholerne tarcie!

Godzinę później sytuacja znów jest groźna. „Picek" ma ręce na chwytach, wystawił głowę nad okapik – ale trzyma go zacinająca się lina.

— Popuść! Popuść, do diabła! — krzyczy.

— Masz kompletny luz — odpowiadam i faluję liną dla potwierdzenia.

Nic nie pomaga. Andrzej złazi dwa metry w dół, a ja muszę podejść samotnie i wypiąć zaklinowaną w karabinkach zjazdówkę. „Picek" znów rusza w górę – na tle nieba widzę jego sylwetkę, potem tylko nogi, wreszcie znika.

— Jak tam? — wrzeszczę.

— Zaraz! Niech zrobię stanowisko...

Po chwili zaczyna stukać młotkiem, co napełnia mnie optymizmem, ale trwa pół godziny. Nie mogę wytrzymać:

— No jak tam?

— Raczej fajnie! Gładka płyta, ale niezbyt stroma, w lewo skośna rysa, można po niej biegać. Potem ostatni pas przewieszek...

— Wysoki?

— Jakieś dwa, trzy metry...

— Nic nie widać?

— Stąd nie.

— No to rób stanowisko!

— Gotowe. Możesz iść!

Moja płytka-pirania ożywa na nowo i nabiera drapieżnych kształtów. Patrzę na nią z trwogą; a nuż w ostatniej chwili zrobi jakiś głupi kawał?

Najważniejsze, żeby wybić haki. Stukam ostrożnie, boję się naruszyć blok. Wyobraźnia bez przerwy bombarduje obrazami przeciętej liny, nieomal słyszę huk lecącego kolosa i czuję zapach siarki. A do diabła!

Ale już lżej. Drapieżna płyta – po prawie dwudziestu godzinach tak bliskiego sąsiedztwa – zostaje w dole. Mijam niewielki daszek i... nie do wiary – po raz pierwszy staję na nogach!

Patrzę w dół i mam wrażenie, że nie jestem już normalny, bo to co widzę nie może być prawdą. Czerwonawe skały przewracają się dziwnie na boki, absolutny brak jakiegokolwiek punktu odniesienia i horyzontu, lina, która na zasadzie sztuk fakirów ucieka poziomo w bok, i ja sam, który w tym wszystkim – trochę wprawdzie krzywo – ale stoję!

Wytykam głowę nad okap. Andrzej siedzi – tak, naprawdę siedzi na płycie i ściąga z całej siły linę. Świat znów robi koziołka i wraca do normalnych wymiarów; jest i horyzont, i pion, i siła ciężkości, która mnie teraz gwałtownie ściąga z powrotem pod okap. Gramolę się na płytę. Wypinając ławeczki rzucam raz jeszcze okiem na ten dom wariatów, z którego wylazłem. Gdyby ktoś mnie tutaj przyprowadził, kazał popatrzeć i powiedział:

„tędy wiedzie droga", usłyszałby, że jest idiota; więcej – założyłbym się o własną głowę, że to niemożliwe.

Dochodzę do Andrzeja i w milczeniu, długo ściskamy sobie ręce. Ale jeszcze nie czas na gratulacje – niebo przesłaniają czerwonawe, pochylone ku nam okapy, a pod nimi jeszcze ostatni pas przewieszek. Widok wcale nieprzyjemny. Idę rysą po płycie i próbuję przewinąć się za kant – nic z tego! A więc w prawo; krok za krokiem po nikłych stopieńkach, tam gdzie przewieszki są najniższe. Płyta jest stroma i gładka – już ponad piętnaście metrów bez haka...

— Ty, nie wariuj! — woła bacznie obserwujący mnie Andrzej. — Jak zlecisz, spadniesz aż pod okap!

Ma rację. Z trudem złażę i bacznie badam każdy szczegół niewzruszonej, broniącej wstępu bariery. Stąd nie ma powrotu, musimy przejść – ale czy nie złapie nas druga noc? Spostrzegam, że niebo znów różowieje i w Żlebie Mnichowym zaczynają się pętać pierwsze siwe mgiełki...

— Heej! Hej! Haallo! — echa przynoszą kakofonię dźwięków.

Odwracam głowę: naprzeciwko, na ramieniu filara Cubryny, stoi jakaś dwójka i wydziera się do nas. Widać ich jak na dłoni.

— Która godzina? — krzyczę.

— Cooo?

— Go-dzi-na!

Coś tam odpowiadają, ale echo nie pozwala zrozumieć słów. W końcu wydaje mi się, że chyba piąta. To by się mniej więcej zgadzało. Jeszcze raz szukam uważnie szczerby w tych murach obronnych, przepatruję każde załamanie i zagłębienie...

Jest! Maleńka, nakryta niskim okapem nyżka to słaby punkt, ale żeby się tam dostać, konieczne są dwa metry podciągu. Trudno. Wbijam hak, wieszam ławeczki, dosięgam do jakiegoś chwytu i włażę na wariata. Nyżka jest mała – siedzę skulony, o wyprostowaniu się nie ma mowy. Wyraźnie ciemnieje, mamy najwyżej pół godziny światła. Znów słaby hak na wysokości piersi; odchylam ciało do tyłu i wstaję. Klinuję zamkniętą dłoń w głębokiej rysie. Rysa jest za szeroka – koniecznie kołek! Na szczęście mam jeszcze jeden. Wbijam go do końca, wpinam karabinek. Przez sekundę maleńkie głazy w Mnichowym Żlebie, żółte płaszczyzny płyt i zielone, płaskie stąd trawniki wirują przed oczyma i niemal słyszę, jak ktoś opowiada, że „dawno, dawno temu żył raz..." — tak jak zaczyna się większość bajek.

Idę dalej w górę; w mrokach majaczą jakieś wielkie bloki, wtem spostrzegam nad sobą zardzewiałą igłę lodową... To już podszczytowy trawers Paszuchy i Łapińskiego.

Drapię się na kamienny obelisk i na wygodną platformę, która kończy drogę. Jest już całkiem ciemno. Długo wrzeszczę i szarpię linę, nim Andrzej zrozumie, że ma iść. Potem z dołu dolatują coraz głośniejsze okrzyki, żebym ściągał.

Cholerna lina znów się zacięła, mdleją mi ręce, nie mam siły jej ściągnąć. Szarpię jeszcze raz z pasją – no, poszła! Pomału usypiając, automatycznie poruszam rękami; nagle silny wstrząs podrywa mnie w górę…

— Co jest?! — krzyczę.

Dobiegają jakieś klątwy, a potem:

— Trzymaj na sztywno! Ściągaj! Trzymaj! — wykonuję te polecenia niezbyt przytomnie; w końcu Andrzej dochodzi…

— Co się stało? — pytam.

— Lina się zacięła. Wyszedłem na rękach, hak wyskoczył i sprułem.

— Dużo?

— Ze trzy metry…

Siedzimy bez ruchu, nie rozmawiając, w kompletnym otępieniu. To koniec. Zgrzane ciała stygną powoli i dobiera się do nas mróz. Milczenie przerywa „Picek":

— Śpimy tu?

Przytomnieję.

— Nie, zostawimy żelazo i poszukamy lepszego miejsca.

— Daj spokój, wspinać się po nocy?

— Dalej jest łatwo.

— Jak chcesz… — apatycznie mówi Andrzej.

Zrzucam z siebie młotek, haki, podaję mu linę do asekuracji i wspinam się w zupełnych ciemnościach.

Rozwiązujemy się na przełączce pod południową granią. Szczyt jest dziesięć metrów nad nami – mamy czas pójść tam jutro. Teraz znaleźć tylko jakieś możliwe miejsce i spać… spać… Wleczemy się sennie w dół. Mróz chwyta coraz silniejszy, zataczając się leziemy jak dwie ostatnie ofermy. Niewidoczny jeszcze księżyc srebrzy wierzchołki Cubryny i Mięguszowieckiego Szczytu.

Schodzimy aż do Mnichowych Stawków i kładziemy się na miękką trawę. Otwieramy młotkiem puszkę wołowiny. Jest zimna jak lód, z trudem przechodzi przez gardło, ale kuleczki tłuszczu rozpuszczają się po chwili w ustach i zaspokajają głód. Chce mi się pić. Księżyc już nas dosięga. Włazimy obaj do tej nieszczęsnej, prującej się „nogi słonia", pod nerki podkładamy plecaczek i usiłujemy zasnąć.

Ta noc jest chyba gorsza od wczorajszej. Dmucha mroźny wiatr i mimo że tulimy się do siebie jak para kochanków – trzęsiemy się z zimna.

Rankiem budzą nas dreszcze. Stawki zamarzły, a my i cała trawa pokryci jesteśmy grubą warstwą szronu. Ruszamy się powoli, niezgrabnie. O jedzeniu wołowiny nie ma mowy; jej stopień twardości mieści się teraz na pewno gdzieś pomiędzy diamentem a stalą!

W końcu zjawia się słońce. Siadamy w jego promieniach. Ale jest źle, czas mija – a nam nie chce się ruszyć. Dopiero kiedy słońce niknie na dobre – idziemy w górę. Nie rozmawiamy prawie ze sobą, kuśtykamy noga za

nogą, zabieramy sprzęt, dla zadośćuczynienia zasadom włazimy na szczyt, i powoli wracamy w dół ku ścieżce. Jest późno, na pewno dobrze po południu.

Gdy zza zakrętu ukazuje się schronisko, nawet mnie to nie cieszy. Jestem zupełnie ogłuszony, przytępiały, niezbyt zdaję sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje. Wiem tylko, że wielki ciężar spadł mi z barków, ale gdyby ktoś mnie spytał o wrażenia z drogi, nie potrafiłbym powiedzieć nic. No cóż, było trudno, baliśmy się, skończyliśmy i kropka.

Schronisko wymarłe, puste. Nikt nie wybiega naprzeciw, nikt nie gratuluje życiowego sukcesu. No, ale kto to ma zrobić? Połowa października – wszyscy wyjechali. Tylko wielki bernardyn Bari podchodzi przeciągając się z wolna i macha ogonem.

Na pustym placu stoi ostatni autobus. Z werandy zbiega drewnianymi schodkami kierowca.

— Kiedy odjazd? — pyta Andrzej.

— Już jedziemy, proszę się pospieszyć!

— Janek! Ja jednak pojadę — decyduje się „Picek", biegnie do „kurnika" po plecak i za moment wraca. — Haki i sprzęt podzielimy w Krakowie. Ty kiedy będziesz?

— Nie wiem, może jutro...

— No to cześć — mówi Andrzej, ściska mi rękę i niknie w ciemnym wnętrzu. Motor warczy, podłużne pudełko wzniecając obłoczki kurzu rusza i po chwili chowa się za zakrętem.

Zostaję sam. Wolno włażę koślawą drabinką do „kurnika".

Brnę po kostki w mieszaninie starych, niepotrzebnych nikomu menażek, puszek po konserwach i wszelkiego rodzaju śmieci. Na półkach poniewierają się góry płatków owsianych i makaronu, wszędzie stare liny i pętle. Kilkanaście trampek – każdy innej wielkości i koloru – oraz podarte łachmany, które kiedyś były spodniami i skafandrami, zalegają brudne sienniki. Wygląda tu jak po trzęsieniu ziemi. Wszyscy opuścili tonący okręt. W kącie leży mój śpiwór. Zwalam się ciężko na siennik i właściwie nic mi się już nie chce: ani jeść, ani spać – wiem tylko, że jest mi smutno.

Dlaczego?

Nie tak wyobrażałem sobie ten dzień i chwilę, kiedy wyzwanie wschodniej ściany, coś, co nie dawało mi spokojnie zasnąć przez trzy lata – stanie się historią. Żółte urwiska, czerwonawe płyty i niewiarygodny pas przewieszek – groźba, konieczność, wyzwanie. Coś się skończyło, a nic nie zaczęło, coś straciłem, a nie mam się jeszcze czym cieszyć. Pustka, zupełna pustka...

Coś, dla czego warto było żyć, znosić przykrości i walczyć – nagle się skończyło. Co dalej? Właściwie żałuję... Choć nie, niezupełnie. Nie chciałbym wrócić raz jeszcze do tamtych dni.

Może znajdę sobie coś innego. A jeśli sytuacja się powtórzy?

Trudno – prawdziwym szczęściem jest dążenie ku niemu...

# COŚ SIĘ KOŃCZY

*Jan Długosz*

*Wybrane fragmenty opowiadania pod tym tytułem z przygotowywanej do druku książki. (Red.)*

Póki dotykałem skały, czułem przynależność do poczciwych, spacerujących po ziemi ssaków. Z rozrzewnieniem wspominałem łagodne wyłupiaste oczy krowy lub rozbrykanego, powiewającego długą grzywą konia. Ale kiedy z najwyższym lękiem kręcę się już na kombinacji dykty i sznurków, przestaję nagle wierzyć w swoje powinowactwo z ziemią i szukam krewnych w górze!

Ale te koligacje niezbyt mnie cieszą; cóż z tego, że jestem w powietrzu, kiedy czuję się tam niepewnie. Dialektyka — dialektyką, ale skrzydeł nie mam, ani kości napełnionych powietrzem, ani piór! Mam za to chyba ptasi móżdżek — to fakt!

Nad moją głową zamyka się prawie poziomy skalny dach. Dyndam twarzą w górę, w głęboko, prawie po biodra nasuniętych ławeczkach i tylko skóra pleców wyczuwa instynktownie te 300 — dzielących ją od Mnichowego Żlebu — metrów pustki.

Znalazłem już potrzebny mi hak, wychylam się jak najdalej do przodu, kładę się prawie „na powietrzu", wtykam go w szczelinę i zaczynam wbijać. Trwa to długo, mięśnie rąk sztywnieją i uderzenia stają się coraz słabsze. „No więcej się nie da", myślę, wpinam jakoś karabinek i linę...

„Idę dalej! Uważaj! — hak może wylecieć!" — wołam.

I teraz dopiero zaczyna się cyrk!

Wyjmuję nogę z ławeczki i, wirując na jednej tylko pętli, wieszam wolną ławkę na górnym haku. Głowę mam teraz na dole, wyczyniam przedziwne sztuki i nie mogę włożyć stopy do beztrosko balansującej pętli. Wreszcie dosięgam i podsuwam ją pod kolano — teraz tylko się jeszcze przesiąść.

„Dociągnij!" — krzyczę.

Łapię ręką za hak, na moment zawisam tylko na niej, chwila wysiłku i ... siedzę na górnej pętli. Niestety, sufit zaczyna się zaraz nad moim nosem i dalej muszę pozostać w niewygodnej, na wpół leżącej pozycji.

●

Po godzinie czy dwóch przyzwyczajam się, świadomość zawęża się do kilku otaczających mnie metrów przestrzeni, przestaję bać się, że hak wyleci, zatracam poczucie pionu i trójwymiarowości.

Przed oczyma mam lekko uciekającą w górę skałę z jednym małym pęknięciem. Ono ma mnie doprowadzić do ziemi obiecanej. Jestem w tej chwili absolutnym obrazem tępoty lub klasycznym przykładem idealnego fachowca technicznego. Oprócz koniecznych ruchów wszystkie myśli ograniczyłem do wkutego na blachę arsenału pojęć wspinaczkowych, zniknęły wszelkie refleksje, poczucie czasu, ba — nawet prawo grawitacji też się jakoś przystosowało i nie odczuwam już przykro mojego niezwykłego położenia. Tyle tylko, że bolą coraz więcej powyginane kości, jestem zmęczony i chciałbym, żeby ten dach już się skończył.

„Andrzej! jak daleko do płyty?" — pytam.

„Jeszcze dwa, trzy metry..."

„Dobra..."

„Ach, żebyś ty siebie mógł zobaczyć!"

Nie odpowiadam, bo nie potrafię teraz wczuć się w jego wrażenia. Wcale nie mam ochoty na oglądanie siebie! Nie mam zresztą ochoty absolutnie na nic; ani na tort czekoladowy, ani na Sophię Loren, ani na miliom dolarów. Teraz chciałbym być tylko te dwa metry wyżej! W końcu dochodzę do skraju okapu i widzę już przyklejoną w przewieszkach płytę.

„Andrzej!" — wołam — „tam dalej będzie chyba można iść klasycznie!"

„Dobra, dobra..." — odpowiada bez większego przekonania — „Najpierw wyleź..."

Godzinę później siedzę już prawie wygodnie na pętlach u stóp płyty. Czuję się pewnie, stanowisko jest raczej niezłe. Oczywiście, z tą klasyczną wspinaczką przesadziłem — okap jest dalej przewieszony. Na razie niepokoi mnie płyta, do której się przytulam. Z daleka podobna jest do małej brazylijskiej rybki piranii — słynnej z ostrych jak brzytwa zębów, którymi potrafi rozerwać każde nieopatrznie wchodzące do wody stworzenie. Prawie okrągła, o owalnych lekko spłaszczonych końcach . Różowo — biało — popielata z dwoma ciemnymi poprzecznymi pręgami — zupełnie jakby wyjęta z akwarium. Reszta przewieszek jest gładka, skrzesana, bez rys i tylko tędy może biegnąć droga. Ale płytka — pirania, ważąca na pewno ładnych kilka ton, ma jedną wadę: jest ze wszystkich stron odpęknięta. Nawet z przeciwległego filaru Cubryny widać głębokie, ciemne szczeliny. Jakim cudem się jeszcze trzyma — nie wiadomo, ale jeden nawet nieostrożnie wbity hak może spełnić rolę klina. A wtedy?!...

Jeden z moich przyjaciół zakwestionował kiedyś w dyskusji prawo do naprawdę wielkich przeżyć. Twierdził on, że istnieje pewna, podyktowana stanem nerwów, granica rozpaczy czy strachu, a kiedy się ją przekroczy — występuje zjawisko narkozy psychicznej i zobojętnienie, ratujące od całkowitego załamania. Myślę, że miał rację. Ze zdziwieniem konstatuję, że boję się teraz znacznie mniej, niż rok temu, kiedy rozważałem nasze szanse z filaru Cubryny. Wtedy miałem jeszcze jedno wyjście: mogłem w ogóle nie iść — do czego zachęcał mnie zresztą rozsądek. Dziś — można już tylko w górę!

●

Najważniejsze to żeby wybić haki i opuścić moją płytkę-piranię. Wybijam ostrożnie, boję się ruszyć blok. Narkoza psychiczna ustąpiła i bez przerwy widzę plastyczne obrazy przeciętej liny, słyszę huk lecącego kolosa, czuję zapach siarki. Ale już mi lżej! Płyta — po prawie 20 godzinach sąsiedztwa — zostaje w dole. Mijam trudną przywieszkę i... nie do wiary — po 30 godzinach wiszenia w powietrzu staję po raz pierwszy na nogi. Wprawdzie tylko na moment — ale zawsze. Patrzę w dół i mam wrażenie, że nie jestem już normalny; bo to co widzę, nie może być prawdą. Czerwonawe skały przewracają się dziwnie na boki, absolutny brak jakiegoś punktu odniesienia i horyzontu, lina, która na zasadzie sztuki fakirów ucieka poziomo w bok i ja sam, który w tym wszystkim — trochę wprawdzie krzywo — ale stoję! Ebominable!

Wytykam głowę nad okap, Andrzej siedzi — tak! Naprawdę siedzi na płycie i ściąga z całej siły linę. Świat znów robi koziołka i wraca do normalnych, od dziecka poznanych wymiarów; jest i horyzont i pion, i siła ciężkości, która mnie teraz gwałtownie wciąga pod okap, i wiem na pewno, że jestem dwunożnym ssakiem — gatunku „homo sapiens", którego właściwym zajęciem jest chodzenie po ziemi. Tego jednego jestem przynajmniej pewien! Gramolę się na płytę, wypinając ławeczki — rzucam jeszcze raz okiem na ten dom wariatów, z którego wylazłem.

Dochodzę do Andrzeja i w milczeniu, długo ściskamy sobie dłonie. Ale jeszcze nie czas na gratulacje... Nad nami ostatni pas przewieszek i to wcale, wcale nieprzyjemny.

Wpinam karabinek w hak, przechodzę trawersem trudny, kamienny obelisk i jestem na wygodnej, kończącej drogę platformie. Jest już całkiem ciemno, muszę długo wrzeszczeć i szarpać linę, zanim Andrzej zrozumie, że ma iść. Potem dolatują mnie coraz mocniejsze okrzyki, żebym ściągał, żebym to... Cholerna lina znów się zacięła. Mdleją mi ręce, nie mam siły jej ściągnąć, krzyczę o tym Pickowi, ale jestem już trochę zobojętniały na wszystko. Szarpię jeszcze raz z pasją — no, poszło... To dobrze. Słyszę Andrzeja — jest już chyba w nyży.

Nagle podrywa mnie w górę i budzi z półsnu, w który powoli zapadłem, silne szarpnięcie.
„Co się stało" — krzyczę.
Dobiegają mnie jakieś klątwy, potem — „trzymaj na sztywno! Ściągaj! Trzymaj!" — Wykonuję te polecenia prawie śpiąc, wreszcie Andrzej dochodzi.
„Co to było?" — pytam.
„Lina ciężko szła. Wyszedłem dwa metry na rękach do nyży, żeby ją odczepić znad przewieszki, powiesiłem ławkę na haku, stanąłem i... byłem znowu dwa metry pod nyżą!"
„Dobrze, że ci się nic nie stało!"
„E, co tam, za minutę byłem z powrotem..."
Siedzimy ciężko, bez ruchu, nie rozmawiając w kompletnym otępieniu. Wiemy, że to koniec. Zgrzane ciała powoli stygną i zaczyna dobierać się do nas mróz. Nie wiem, jak długo to trwa, milczenie przerywa Picek.
„Śpimy tu?.."
Przytomnieję — „Nie!" — odpowiadam. — „Zostawimy sprzęt, wyjdziemy z platformy i poszukamy jakiegoś lepszego miejsca, tu jest niewygodnie..."
„Eee, lepiej dajmy spokój, nie będziemy się przecież wspinać po nocy, jesteśmy wykończeni..."
„Znam ten odcinek świetnie, byłem tu ze cztery razy, to tylko 15 metrów.... lekko nadzwyczaj..."
„Jak chcesz" — mówi apatycznie Andrzej.
Zrzucam z siebie młotek, haki, daję mu linę do trzymania i wspinam się w zupełnych ciemnościach.

●

Na przełączce pod południową granią rozwiązujemy się. Szczyt jest 10 metrów nad nami, mamy czas pójść tam jutro. Teraz znaleźć tylko jakieś możliwe miejsce i spać... spać... Ale wszędzie kamienie i kamienie.
Schodzimy aż do Mnichowych Stawów i kładziemy się na miękką trawę. Trawa jest zmarznięta i potwornie zimna. Otwieramy młotkiem jedyne, co nam pozostało do jedzenia — puszkę wołowiny. Jest zimna jak lód, z trudem przechodzi przez gardło, ale kuleczki tłuszczu rozpuszczają się jednak po chwili w ustach i zaspakajają głód. Chce mi się pić — piję lodowatą wodę. Księżyc już nas dosięga. Włazimy obaj do tej nieszczęsnej prującej się nogi słonia, pod nerki podkładamy plecaczek i usiłujemy spać. Ale ta noc jest chyba gorsza od wczorajszej. Zaczyna dmuchać mroźny wiatr, i mimo że przytulamy się do siebie jak para kochanków, trzęsiemy się z zimna.
Rankiem budzą nas dreszcze. Stawki zamarzły, a my i cała trawa, tak jak drzewa na Plantach w jesienne przymrozki, pokryci jesteśmy grubą warstwą szronu. Ruszamy się powoli, niezgrabnie. Nie możemy się zmusić, by wyjść te sto pięćdziesiąt metrów wyżej — po sprzęt. Czekamy na słońce. O jedzeniu wołowiny nie ma mowy; stopień jej twardości mieści się teraz na pewno gdzieś pomiędzy diamentem a stalą!
W końcu zjawia się słońce. Siadamy w jego promieniach i regenerujemy siły. Ale jest źle, czas mija, a nam się nie chce ruszyć i dopiero kiedy nakrywa nas cień — przenosimy się o kilkanaście metrów wyżej. Wreszcie słońce niknie na dobre. Idziemy w górę. Nie rozmawiamy prawie ze sobą, wleczemy się noga za nogą, w końcu osiągamy platformę. Zabieramy sprzęt, wyłazimy dla zadośćuczynienia na szczyt i powoli wracamy w dół, ku ścieżce. Jest już późno, na pewno dobrze po południu.

●

Gdy zza zakrętu ukazuje się schronisko, nawet mnie to nie cieszy. Jestem zupełnie ogłuszony, przytępiony, niezbyt sobie zdaję sprawę z tego, co się ze mną dzieje; nie umiem się ani smucić, ani cieszyć. Wiem tylko tyle, że wielki ciężar spadł mi z bark... Ba, ale gdyby ktoś mnie spytał o wrażenia z drogi, nie potrafiłbym nic powiedzieć. No cóż — było trudno, baliśmy się, skończyliśmy, kropka... Schronisko wymarłe, puste. Nikt nie wybiega nam naprzeciw, nikt nie gratuluje życiowego sukcesu. No, ale kto to ma zrobić? Połowa października — wszyscy już wyjechali.

**14**

Tylko wielki bernardyn Bari podchodzi do nas, przeciągając się z wolna i macha ogonem.
Na pustym autobusowym placu stoi ostatni autobus. Z werandy zbiega po drewnianych schodkach kierowca.
„Kiedy odjazd?" — pyta Andrzej.
„Już jedziemy, proszę się pośpieszyć!"
„Janek! Ja chyba jednak pojadę" — decyduje się Picek. Biegnie do kurnika po plecak i za moment wraca.
„Haki i sprzęt podzielimy w Krakowie. Ty kiedy wracasz?"
„Nie wiem, może jutro... Dzisiaj cholernie mi się nie chce." — odpowiadam.
„No to cześć" — mówi Andrzej, ściska mi rękę i niknie w ciemnym wnętrzu autobusu. Motor warczy, z rury wydechowej kłębi się trochę dymu, podłużne pudełko rusza, wzniecając obłoczki kurzu i za chwilę chowa się za zakrętem. Zostaję sam, zupełnie sam. Wolno wyłażę po koślawych szczeblach drabinki do „Kurnika"...
Niesłychanie przykro uderza mnie wrażenie beznadziejności i opuszczenia. Brnę po kostki w mieszaninie starych niepotrzebnych już nikomu menażek, pustych konserwowych puszek i wszelkiego rodzaju śmieci. Na półkach poniewierają się góry płatków owsianych i makaronu, wszędzie porozrzucane stare liny i pętle, a kilkanaście trampków, każdy innej wielkości i koloru oraz podarte łachmany, które kiedyś były spodniami i skafandrami, zalegają brudne sienniki.
Wygląda tu jak po trzęsieniu ziemi, albo po przejściu huraganu. W kącie leży mój śpiwór. Wszyscy opuścili tonący okręt, zostałem tylko ja. Zwalam się ciężko na siennik i właściwie nic mi się nie chce; ani jeść, ani spać — wiem tylko, że jest mi smutno...
Dlaczego? — Trudno odpowiedzieć; nie tak wyobrażałem sobie ten dzień i chwilę, kiedy groźba wschodniej ściany — coś co nie dawało mi zasnąć spokojnie przez trzy lata — przestanie istnieć... Powoli przypominam sobie, że już raz przeżywałem coś podobnego — było to w 1947 roku, kiedy zdawałem maturę. Jeszcze miesiąc wcześniej sądziłem, że będzie to najpiękniejsza chwila w moim życiu, stanę się wreszcie dojrzałym człowiekiem, nadejdą studia, akademicka czapka — nowa wspaniała era. Ale kiedy szedłem z świadectwem w kieszeni, czułem się podobnie jak dziś — coś się skończyło, a nic się nie zaczęło, coś straciłem, a nie mam się jeszcze czym cieszyć, pustka — zupełna pustka...
Popadam w zamyślenie; żółta wezbrana rzeka: w zawrotnym tempie płyną — podskakując na nierównym nurcie — długie, twarde cielska drzew. Do kilku bezładnie zbitych, zczerniałych desek przywarł zjeżony, mokry kot o oszalałych oczach. Na brzegu stoi gromadka cichutko pochlipujących dzieci. Zamarła bez ruchu kobieta o zapadłych, patrzących w głąb oczach, chłop ściskający w milczeniu głowę rękami. Tam, gdzie była chałupa i kawałek gruntu, kotłuje się rwący, żółty nurt — woda zabrała wszystko...
Wszystko! Czy można sobie naprawdę zdać z tego słowa sprawę? Czy ktoś, kto w przeciągu kilku godzin nie stracił wysiłku całego życia potrafi dojrzeć to, co kryje się w oczach i nieruchomo zastygłych postaciach? Wszystko! Wszystko! Nie zostało nic... pustka, zupełna głucha pustka, bez niczego, bez żadnego punktu oparcia, bez najmniejszego kamyka, od którego można by zacząć budować na nowo.
I teraz jest w pewnym sensie podobnie. Oczywiście, że to nie to — sytuacji tych nie podobna nawet porównywać, a jednak — wydaje mi się, że przerażający w swojej martwocie, otaczający mnie nieład zaczyna drgać i wolno kręcić się w żółtych odmętach. Coś, dlaczego warto było żyć — nagle się skończyło. Co teraz? Właściwie żałuję. Choć nie! Nie chciałbym wracać tam jeszcze raz. To nic, znajdę sobie coś innego. Może...?

●

Zaprawdę rację ma profesor Tatarkiewicz twierdząc, że prawdziwym szczęściem jest dążenie ku niemu.

## 63 rocznica pierwszego przejścia *Wariantu R* na Mnichu

Na koniec parę własnych wspomnień i parę zdjęć z przejścia tej drogi w 1964 roku. Wcześniej przeszliśmy z Krzyśkiem w Tatrach już parę trudnych klasycznych dróg, ale w tatrzańskim haczeniu, i to tak masywnym, nie mieliśmy żadnego doświadczenia. Z trudem zebraliśmy potrzebne na takie wspinanie haczywo – wszystko było niezwykle ciężkie. Szczególnie przypominam sobie olbrzymie stalowe, sprowadzane z NRD karabinki „Hasneye", haki też były solidnie kute. O lekkich karabinkach nawet jeszcze nie słyszeliśmy. Jedno co mieliśmy super, gdy większość polskich taterników wciąż wspinała się na sizalkach, to nylonowa, 90 metrowa lina marki „Viking". Lina to była wprawdzie żeglarska i okropnie się skręcała, tworząc na stanowiskach strasznie poskręcane makarony, no ale w przypadku lotów swą wytrzymałością zapewniała nieporównywalne bezpieczeństwo. Uprzęże nie były wtedy jeszcze znane, a za dupowsporek służyła zawiązana na tyłku pętla. Sama wspinaczka przebiegała bezproblemowo, trochę emocji sprawiało wbijanie haków za „dudniącą płytę" (która po wielu latach odpadła – o dziwo bez ofiar), no i efektowne wejście przez okap, które prowadził Krzysiek. Gdy ja znalazłem się nad okapem, z lewej strony wyłoniła się spod okapów postać Andrzeja Heinricha, który razem z Sadusiem kończył właśnie przejście nowej drogi, pierwszej na tej ścianie i dotąd chyba jedynej, która zwymi trudnościami hakowymi przewyższyła *Wariant R*. W miejscu gdzie nasze drogi się połączyły pozostawiłem Andrzejowi wbitego haka. I to by było na tyle. Nie przypominam sobie, czy wówczas wchodziliśmy na sam wierzchołek Mnicha, czy też nie; bywaliśmy na nim już nieraz wcześniej.

*Jan Kiełkowski*

Fot. J. Kiełkowski

## 50 rocznica 1. zimowego przejścia *drogi Kowalewskiego i Pałuchy* na Młynarczyku, uzupełnienia

?. przejście (2.p.kobiece): 08.1974 Dobrosława Miodowicz, Konstanty Miodowicz
?. przejście: 08.1974 Jerzy Zając, Stanisław Wacław
?. przejście: 8.08.1974 Andrzej Klonowski, L. Kozakiewicz
?. przejście: 07.1978 Dariusz Dryla, Piotr Paćkowski

Oto wsponienie Piotra Paćkowskiego z przejścia *drogi Kowalewskiego* na Młynarczyku w 1978 roku.

### Wielki lot

Opisany wypadek wydarzył się w lipcu 1978 roku. Byłem wówczas kierownikiem małego obozu AKA Wrocław w dolinie Białej Wody. Po treningu w Sokolikach byłem w świetnej formie. Dlatego wybrałem jako pierwszą *drogę Kowalewskiego* na Młynarczyku. Moim partnerem na obozie był Darek Dryla, dla którego był to pierwszy sezon tatrzański. Darek był moim kursantem w Rudawach.

Wyszliśmy przed ósmą. Podejście pod ścianę było krótkie. Po drodze przypomniałem sobie, że zapomniałem zabrać młotek. Wróciliśmy na taborisko. Chyba jednak nie trzeba było wracać.

Trudności w zacięciu nie przysporzyły mi trudności, kilka miejsc dűlferem. Uważałem, że droga nie jest tak trudna, jak ją opisano (jeśli dobrze pamiętam VI-). Szybko znaleźliśmy się pod kopułą szczytową. Według przewodnika (chyba Gierycha) do szczytu został jeden wyciąg, V+. Patrzyłem na te rysę wyjściową, mówiąc sobie: to nie może być to, za łatwo wygląda. I pierwszy raz w życiu zacząłem szukać trudności zamiast skończyć drogę.

Ze stanowiska, dość kruchego (trzy duże rynny), poszedłem w prawo trawersem. Po chwili połknąłem przynętę: stary tytanowy hak. Może zjazdowy lub z jakiegoś wycofu. No i wkrótce pułapka – przewieszone płyty. Pierwszy raz chwyciłem się za kosówkę. Wytrzymała. Za drugim razem odpaliłem lot. Nie miałem kasku, wiec ochroniłem głowę rękami. Pierwsze wyhamowanie, potem drugie i trzecie. To wylatywały haki. W końcu cisza. Żadnego bólu. Stan jakiejś nirwany.

Później, w Podlesicach, rozmawiałem na ten temat z Wojtkiem Kurtyką, który opowiadał o swoich halucynacjach na jakiejś drodze.

Potem się obudziłem. Według Darka trwało to około 25 minut. Byłem chyba gdzieś daleko i prawdopodobnie „in extremis" powróciłem do rzeczywistości. Widziałem, jak na dłoni, całą dolinę ze stawami, jakby z góry. Widziałem też siebie siedzącego na trawiastym zachodzie. I wreszcie przypomniałem sobie, na której drodze jestem.

Po odzyskaniu przytomności stwierdziłem, że nie mam na głowie mojej kolorowej czapki wełnianej zrobionej przez Mamę. Darek coś krzyczał. Daj luzu, idę po czapkę – krzyknąłem. Leżała niżej, na kolejnym zachodzie. Zszedłem po nią i potem dotarłem do stanowiska. W sumie cały lot miał około 40 metrów. Darek był biały ze strachu. Wyrwałem stanowisko. Została tylko jedna kostka – hex, n°3 „Made Walkosz", z niebieską pętlą o średnicy 6 milimetrów, wyhandlowana od kogoś w Moku, chyba od Wacha.

Darek chciał prowadzić ostatni wyciąg. ale nie dał rady: teraz ja. Po dojściu na szczyt opuściły mnie siły. To było krótkie działanie adrenaliny. Ósemka była tak zaciśnięta, że trzeba było ją rozbijać młotkiem. Od śmierci uratowały mnie chyba trawiaste zachody, od których się odbijałem, spadając. Nie miałem żadnego złamania, tylko powierzchowne, skórne rany.

Zejście w dolinę było egzotyczne, dzika sceneria, wykroty. Drzewa i las jak w Makbecie. Kilka razy wpadłem do potoku. Gdybym był sam, mogłoby to się źle skończyć. Chłopcy sprowadzili mnie na Łysą Polanę. Słowaccy celnicy zapytali, do jakiego szpitala chcę jechać, do Polski czy na Słowację? Na Słowację – odrzekłem, gdyż miałem tam piękną panienkę do odwiedzenia w Bańskiej Bystrzycy.

Spędziłem tydzień na obserwacji w szpitalu w Kieżmarku. Pielęgniarka przepiękna. Szok minął. Dopiero wychodząc ze szpitala, zrozumiałem, łkając jak dziecko, że mogłem zostać na zawsze na Młynarczyku. Potem powrót do Moka na taborisko. Dziadek, Krowa, Ojciec, Kacuga, Małolat, Termit, pani Dziunia. Pani Jadzia podawała sznycle. Piwo. Pink Floyd w namiocie. Ludzie patrzyli na mnie, jakbym wrócił z innej planety. Jesienią powrót w Sokoliki, żeby sprawdzić (jak ktoś mi radził) czy się boję wspinać. Chyba nie. Następnego lata zrobiłem z Marianem Jargiłło nową drogę na Zamarłej.

*Piotr Paćkowski*

# MIĘDZY NAMI WEGANTAMI

## Korona Himalajów we Władysławowie

W maju i na początku czerwca tego roku trzy tygodnie spędziliśmy w Trójmieście, odwiedziliśmy także Władysławowo. Przeszliśmy całą Aleję Gwiazd Sportu, aż do morza, i podziwialiśmy piękny monument „Korona Himalajów". Aleja istnieje już od 2000 roku, Koronę odsłonięto w 2014. Monument ten tworzy 14 skalnych płyt z różowo-brązowego piaskowca, które symbolizują 14 himalajskich (i tych z Karakorum) ośmiotysięczników. Na każdej płycie umieszczona jest nazwa szczytu, którego jest symbolem. Autorem rzeźby jest profesor Sławoj Ostrowski. Po jednej stronie monumentu, w chodniku, znajdują się gwiazdy zdobywców „Korony" (Reinholda Messnera, Jerzego Kukuczki, Krzysztofa Wielickiego i Piotra Pustelnika), po drugiej – zasłużonych himalaistów (Edmunda Hillary'ego, Andrzeja Zawady, Wandy Rutkiewicz i Kingi Baranowskiej).

Monument został odsłonięty w 2014 roku, ale dotychczas z 14 ośmiotysięczników tylko trzy (Mount Everest, Manaslu i Dhaulagiri) doczekały się swego „chrztu". To znaczy, że umocowane zostały na ich płytach tabliczki z najwybitniejszymi polskimi dokonaniami, dlatego pomnik ten powinien być nazwany raczej „Polską Koroną Himalajów". Pozostałe szczyty czekają na „chrzciny".

Zauważyliśmy też, że jeden z opisów na płycie Mount Everestu jest nieco niefortunny. Mianowicie E. Chrobak i A. Marciniak nie byli pierwszymi, którzy weszli na Everest przez *Hornbein Couloir*, lecz byli pierwszymi Polakami, którzy tego dokonali. A właściwie droga, którą weszli na szczyt, prowadziła zachodnią granią z wyjściem przez *Hornbein Couloir*.

*Małgorzata i Jan Kiełkowscy*

Oto historia powstania himalajskiego monumentu nad morzem, opisana bardzo szczegółowo przez Michała Kochańczyka, jedego z inicjatorów powstania tej rzeźby (WEGA t. VI, str. 407).

## Zapamiętałem to tak

W połowie października 2008 roku zadzwonił do mnie stary druh Marek Roslan, z którym łączyła mnie wieloletnia serdeczna zażyłość, braliśmy udział w kilku wyprawach, uczestniczyliśmy aktywnie w życiu klubowym Klubu Wysokogórskiego „Trójmiasto". Marek, jako lekarz, nie tylko wykazywał się ofiarnością w Himalajach, ale i na nizinach też bardzo pomagał wielu kolegom w ich problemach zdrowotnych.

Marek poprosił mnie, bym pod koniec października, na Wszystkich Świętych, poprowadził prezentację w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich we Władysławowie o naszych Koleżankach i Kolegach, którzy zginęli w górach. Przyznaję szczerze, na początku odmówiłem, bo na ten właśnie dzień zaprosił mnie na świętowanie

swoich pięćdziesiątych urodzin Jędruś Tomanek z Kabaretu OT.TO, z którym się przyjaźniłem. Ale w miarę czasu „dojrzewałem", przemyślałem sobie sprawę na spokojnie, że ci, z którymi przeżyłem tyle dobrego w górach, zasługują na pamięć i szacunek. Zdecydowałem się przygotować prezentację, zebrałem obszerną ikonografię, zeskanowałem przeźrocza i czarno-białe fotografie. Przeprosiłem grzecznie Jędrka Tomanka. Na szczęście Jędrek jest mądrym człowiekiem, zrozumiał sytuację…

Do Władysławowa pojechałem razem z Waldkiem Soroką, Spodziewałem się skromnego spotkania w jakiejś salce, na które może przyjdą dzieci ze szkoły podstawowej. Tymczasem zaproszono nas do eleganckiej sali bankietowej, gdzie był przygotowany wysokobudżetowy catering. Zasiedliśmy przy stolikach, stopniowo zapełniały się miejsca wokół nas. Przybyli Koledzy klubowi, między innymi: Marek Roslan, Edek Taylor, Andrzej Marciniak, Jan Szulc. Spotkanie otworzył Jerzy Szczepankowski, prezes Fundacji „Aleja Gwiazd Sportu", który powitał mnie jako najbardziej honorowego gościa. I ku mojemu zdziwieniu okazało się, że znajdowałem się przy stoliku z Leszkiem Blanikiem. „świeżym" złotym medalistą z igrzysk w Pekinie, a tuż obok siedział Kazimierz Zimny, medalista olimpijski z Rzymu, wielka karta historii polskiej lekkoatletyki. Na wypełnionej po brzegi sali, oprócz młodzieży, znajdowało się wielu wybitnych sportowców, trenerów, działaczy sportowych, przybyli licznie dziennikarze.

Dopiero wówczas podziękowałem swojej intuicji, sugerującej mi solidne przygotowanie prezentacji. Bo rzeczywiście, w miarę prowadzonej prezentacji, gdy przybliżałem sylwetki Koleżanek i Kolegów, którzy zginęli tragiczną śmiercią w odległych górach całego niemal świata, czułem coraz większą uwagę obecnych na sali osób, którzy dowiadywali się, jak wielu wartościowych Przyjaciół straciliśmy…

Po spotkaniu poszliśmy z wiązankami na Aleję Gwiazd Sportu, by zapalić znicze przy gwiazdach nieżyjących sportowców. Jerzy Szczepankowski tak przygotował program tej części uroczystości, by zdobywca Everestu Andrzej Marciniak złożył wiązankę kwiatów i zapalił znicz przy gwieździe Edmunda Hillary'ego, pierwszego zdobywcy najwyższej góry świata. Po zapaleniu wszystkich zniczy zrobiliśmy sobie grupowe zdjęcie przy fontannie wieńczącej Aleję Gwiazd Sportu, zaprojektowaną przez Wojciecha Zabłockiego, wybitnego szermierza. Gdy tam staliśmy, Marek Roslan napomknął: „Michale, poczyńmy starania, by na tej Alei były również gwiazdy naszych

Kolegów himalaistów." Marek miał na myśli głównie kolegów, którzy zginęli podczas wyprawy na Everest w 1989 roku: Eugeniusza Chrobaka, Andrzeja Heinricha, Wacka Otrębę. Mirka Gardzielewskiego i Mirka Falco-Dąsala.

Niestety, w czasie rozmów z Jerzym Szczepankowskim, prezesem Fundacji „Aleja Gwiazd Sportu", wielkim miłośnikiem sportu, inicjatorem powstania Alei, dowiedzieliśmy się, że Kapituła Alei preferuje przede wszystkim instalację gwiazd wybitnych olimpijczyków, a w dodatku naszych wybitnych himalaistów jest tak dużo, że tylko dla nich musiałaby powstać dodatkowa Aleja…

Życie jednak pisze swoje scenariusze. Niecały rok później podczas wspinaczki na Wielką Rywocińską Turnię w Tatrach Słowackich zginął Andrzej Marciniak. Ja w tym czasie byłem na wyprawie w Wenezueli, ale Marek Roslan, będący pod wpływem śmierci Andrzeja, zaczął czynić energiczne starania, by chociaż gwiazda Andrzeja Marciniaka pojawiła się w Alei Gwiazd Sportu. Jerzy Szczepankowski, chcąc się jakoś grzecznie wybronić przed odsłanianiem dużych gwiazd alpinistów w Alei, zdając sobie sprawę, że po tej Andrzeja Marciniaka pojawią się lawinowo potrzeby odsłaniania gwiazd wielu innych, jeszcze bardziej zasłużonych, himalaistów, zaproponował ustawienie w Alei głazu czy skały, która byłaby symbolem gór, a na tej skale umieszczane by były miniatury gwiazd z nazwiskami wspinaczy.

Po tej życzliwej propozycji Jerzego Szczepankowskiego, Marek skontaktował się z małżeństwem Marzeną i Jackiem Bruzdowiczami, architektami i plastykami. Znaliśmy się od lat, Jacek był wytrawnym alpinistą, między innymi kierownikiem wyprawy na Haramosh, miał do czynienia z wieloma projektami górskimi, między innymi projektował dla Polskiego Związku Alpinizmu …schronisko na Szałasiskach w Dolinie Rybiego Potoku. Jacek z Marzeną, znający dobrze trójmiejskie środowisko twórcze, zaproponowali, by koncepcję tego „Kamienia" opracował profesor Sławoj Ostrowski, ówczesny dziekan Wydziału Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Profesor zainteresował się tym tematem. W trakcie rozmów o wyglądzie i sensie rzeźby profesor, Marzena i Jacek szybko uzgodnili koncepcję: „A dlaczego tylko jeden kamień, wszak ośmiotysięczników jest czternaście. I kamienie mają być dość wysokie, na wierzchołki szczytów patrzy się w górę". Profesor zaprojektował, zobaczyliśmy makietę z gipsu w skali 1 : 20 – „Ośmiotysięczniki", stojące w szeregu jeden za drugim. To już było coś! To robiło wrażenie.

Marzena i Jacek opracowali sugestywne credo rzeźby: „Ideą przedsięwzięcia jest pokazanie osiągnięć polskiego himalaizmu na rzeźbie, przedstawiającej w lapidarny sposób Koronę Himalajów. Będzie to zwarta, dynamiczna, ciekawa rzeźbiarsko forma, poprzez postrzępione szpice, cięte krawędzie i polerowane boki, przez to uzyskany zostanie świetny światłocień w ciągu dnia i ciekawe efekty podczas nocnego, efektownego podświetlenia. Na poszczególnych płytach, wyobrażających kolejne szczyty ośmiotysięczne, umieszczone będą tabliczki, eksponujące osiągnięcia sportowe polskich himalaistów. Budowla będzie składała się z czternastu płyt granitowych, ciętych na plastry o grubości 20 cm, ustawione na sztorc w odstępach co 5 cm. Poszczególne płyty będę przesuwane względem siebie"

Okazało się, że droga od pomysłu do realizacji jest długa i kręta. Ale dostaliśmy nie tylko „zielone światło" od Jerzego Szczepankowskiego, ale także Jego pomoc i częściowe wsparcie finansowe ze strony Fundacji „Aleja Gwiazd Sportu". Jerzy Szczepankowski przekonał Kapitułę Alei i władze Władysławowa do pomysłu, ba, poprosił o współpracę Leona Czerwińskiego, właściciela dużej firmy kamieniarskiej „Murkam" w Kawlach Dolnych, w pobliżu Przodkowa. Leon Czerwiński od lat współpracował z Jerzym Szczepankowskim przy budowie poszczególnych etapów Alei i życzliwie podjął się współpracy. Już w trakcie pierwszej wizyty profesora Ostrowskiego i Jacka Bruzdowicza w firmie „Murkam" pokazano im fragment piaskowca o bardzo ciekawych kolorach i strukturze. Piaskowiec ten od razu spodobał się twórcom, doskonale też nadawał się do obróbki kamieniarskiej. Trzeba było „tylko" sprowadzić go ze Szwecji.

Pełni entuzjazmu, szczególnie motywowani przez Marka Roslana, sądziliśmy, że już w 2010 roku uda się postawić rzeźbę. W maju tego roku odpowiednim władzom został przedstawiony projekt techniczny: „Projekt rzeźby plenerowej „Korona Himalajów" wraz z zagospodarowaniem otoczenia". Projekt był wspólnym dziełem: prof. Sławoj Ostrowski był autorem projektu rzeźby plenerowej, mgr sztuki Marzena Makowska-Bruzdowicz i mgr inż. arch. Jacek Bruzdowicz opracowali projekt małej architektury.

Rozpoczęliśmy na szeroką skalę akcję zdobywania sponsorów na to przedsięwzięcie, portale wspinaczkowe zamieściły apel w tej sprawie. I gdy już wydawało się, że zrealizujemy wówczas projekt, dostaliśmy dość szybko zimny prysznic. Jacek Bruzdowicz z Leonem Czerwińskim pojechali po ten kamień do kamieniołomu Waza Stein w pobliżu Âlvdalen w środkowej Szwecji. Tam znaleźli odpowiednie bloki kamienne. Wreszcie, którejś majowej niedzieli spotkaliśmy się w czwórkę – Jacek Bruzdowicz, Waldek Soroka, Marek Roslan i ja – u mnie w domu i skrupulatnie przeliczając zebrane i potencjalne środki, dopięliśmy z radością budżet. Wydawało się, że wszystko jest już dograne i będzie możliwe odsłonięcie Korony zgodnie z planem, na początku sierpnia 2010

roku. Ale następnego dnia przed południem rozmowa telefoniczna z właścicielem kamieniołomu z hukiem wywróciła nasze plany. Szwed podał cenę trzykrotnie większą niż się spodziewaliśmy i …musieliśmy przyczaić się na jakiś czas.

W dniu 7 listopada 2010 roku, jako prezes Klubu Wysokogórskiego „Trójmiasto" przedstawiłem projekt rzeźby na Walnym Zjeździe Delegatów Polskiego Związku Alpinizmu. Przedsięwzięcie to zostało zaakceptowane przez delegatów przez aklamację. Janusz Onyszkiewicz, prezes Polskiego Związku Alpinizmu, zaraz po tej decyzji Zjazdu wspomniał: „Przyjdźcie do mnie z tym projektem, przedstawimy go w Ministerstwie Sportu". Koledzy z innych klubów, oglądali projekt, podobał im się, cmokali ustami, ale zaraz dodawali: „He, he, raczej Wam się nie uda, gdzie zdobędziecie tyle szmalu?"

Praktycznie do powstania rzeźby najwięcej przyczynił się Jerzy Szczepankowski, który cały czas drążył sprawę, przy każdej możliwej okazji szukał przysłowiowego „światełka" w tunelu. W 2013 roku zdobył znaczne środki z Unii Europejskiej, z środków finansowych Europejskiego Funduszu Rybackiego, zapewniającego inwestycje w zrównoważone rybactwo. Oczywiście, nie byłoby to możliwe bez wydatnej pomocy Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego. Środki przeznaczone były na rozbudowę Alei, na monitoring i małą architekturę, ale przy okazji udało się co nieco zagospodarować na rzeźbę. Również prywatni sponsorzy w pewnym zakresie wsparli sprawę.

Gdy pojawiły się środki, Jerzy Szczepankowski, Jacek Bruzdowicz i Leon Czerwiński w czerwcu 2013 roku wyruszyli do Szwecji po materiał skalny. Negocjacje z właścicielem kamieniołomu były trudne. Pewien bonus nasza ekipa dostała za to, że zgodziła się na zabranie nie wyszlifowanych bloków, lecz kamieni o naturalnej strukturze, bo takie było założenie rzeźby, ale o tym Szwed nie wiedział. Także rozmowy przy płynnych produktach z Polski bardzo pomogły w ustaleniu ceny. Transportem ponad stu czterdziestu ton materiału skalnego zajął się Leon Czerwiński.

To Jerzy podjął decyzję, by XV gala w Alei Gwiazd Sportu, w 2014 roku, była poświęcona tylko himalaizmowi i by zaprosić Reinholda Messnera, pierwszego zdobywcę Korony Himalajów. Pomysł zaproszenia Messnera do Władysława wydawał się bardzo naiwny, mało kto wierzył, że zaproszenie zostanie przyjęte.

Jerzy liczył skrupulatnie środki – starczyły na wykonanie sześciu gwiazd, zatem oprócz naszych polskich zdobywców Korony Himalajów: Jerzego Kukuczki, Krzyśka Wielickiego, Piotra Pustelnika, gwiazdy dostali: pierwszy zdobywca Korony i honorowy gość Reinhold Messner, Wanda Rutkiewicz – wielka damy światowego himalaizmu, pierwszy Polak na Evereście oraz Kinga Baranowska, zdobywczyni ośmiu ośmiotysięczników, córka Ziemi Wejherowskiej. Po jakimś czasie, powstały warunki, by zamontować także gwiazdę Andrzeja Zawady, wybitnego himalaisty, kierownika wielu wypraw, twórcy polskiego himalaizmu zimowego.

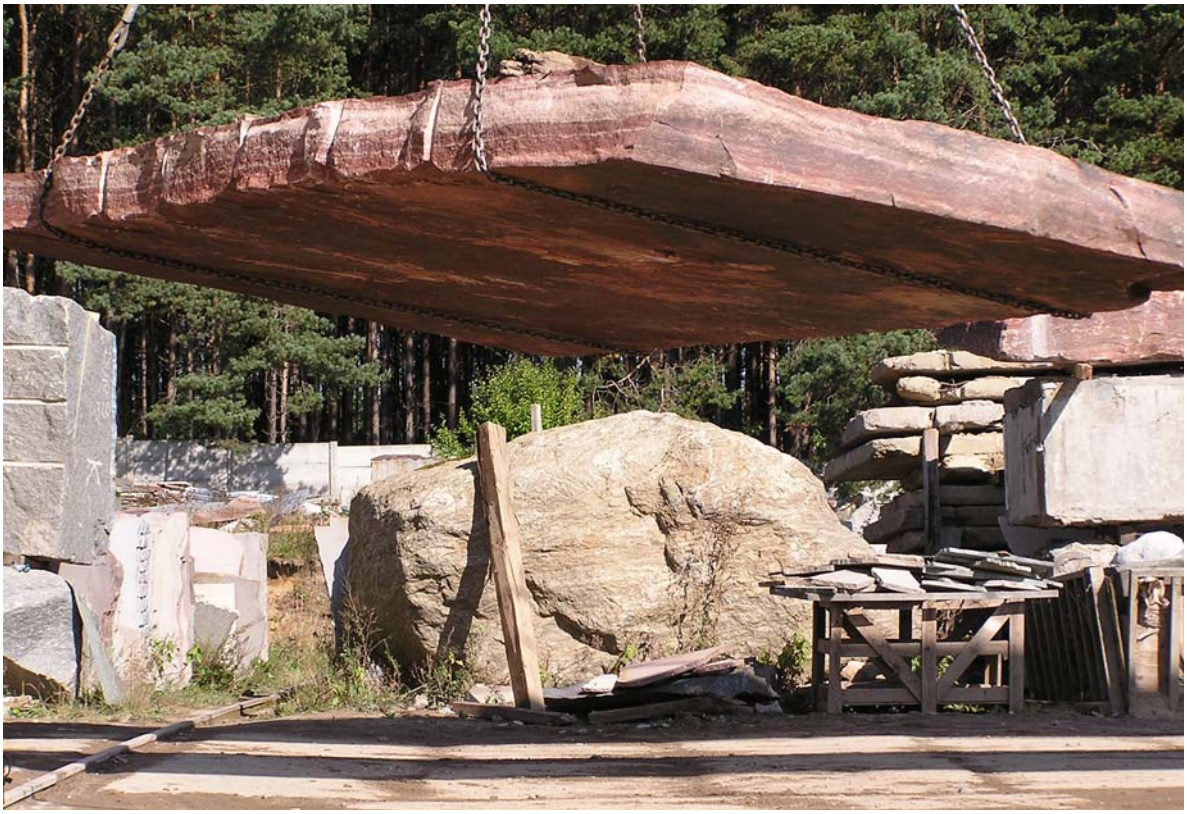

Termin odsłonięcia rzeźby uzależniliśmy od terminu przybycia Messnera. Już w czerwcu 2013 roku wysłano do niego zaproszenie, które wspólnie podpisali Jerzy Szczepankowski, prezes Fundacji „Aleja Gwiazd Sportu" i Janusz Onyszkiewicz, prezes Polskiego Związku Alpinizmu. Messnerowi daliśmy do wyboru dowolny termin w okresie od czerwca do jesieni 2014 roku. Długo czekaliśmy na odpowiedź od pani Ruth Ennemoser, prowadzącą w Bolzano biuro Reinholda Messnera. Jurek Szczepankowski już zaczął się denerwować. Dr Bernard Rudkowski, przyjaciel Jerzego, niezawodny sponsor Alei Gwiazd Sportu, prezes polsko-niemieckiej spółki GEN-GAZ, wielokrotnie naciskał na panią Ruth, również ja uruchamiałem swoje kontakty poprzez Jurka Porębskiego i Janusza Majera. Szczęśliwie, na początku marca 2014 roku dostaliśmy odpowiedź: Messner potwierdził przyjazd do Władysławowa na dzień 28 czerwca. Później, gdy odprowadzaliśmy Messnera na lot powrotny do Monachium, na spokojnie w Rębiechowie z Markiem Roslanem spytaliśmy go, jaki jest klucz ustalania jego grafików, w końcu jest zapraszany na wiele górskich kongresów i festiwali filmowych. Dowiedzieliśmy się, że co kwartał jest układany plan jego wyjazdów na najbliższe miesiące.

Zatem zakasaliśmy rękawy i zabraliśmy się do roboty. Profesor Sławoj Ostrowski, razem z Marzeną i Jackiem Bruzdowiczami, Jerzym Szczepankowskim i Leonem Czerwińskim w Kawlach Wielkich uzgadniali wszelkie szczegóły, nie tylko w zakresie fundamentu, formowania kształtów każdej z płyt czy zasad montażu rzeźby, liternictwa ale też detali dotyczących zagospodarowania nawierzchni wokół rzeźby: kostki granitowej, jej układu, spadków terenu, a w dalszej kolejności układu pasów zieleni. Z pewnością również sprawy techniczne oświetlenia też zajęły Marzenie, Jackowi i Jurkowi trochę czasu.

Praca Jacka i Marzeny w „Murkamie", przy stałej obecności szefa firmy Leona Czerwińskiego i konsultacjach Sławka Ostrowskiego, polegała na przypisaniu bloków skalnych do konkretnych szczytów i ustaleniu zakresu

W zakładzie kamieniarskim Murkam w Kawlach Dolnych koło Przodkowa na Kaszubach. Od lewej: Jacek Bruzdowicz, Jerzy Szczepankowski (prezes Fundacji Alei Gwiazd Sportu), profesor Sławoj Ostrowski, Grażyna Ostrowska (żona profesora) i Leon Czerwiński (właściciel firmy Murkam)

niezbędnej obróbki, jak rozcięcie na części bloków zbyt masywnych, co wykonywały mniej więcej pięciometrowe tarcze, tnące polewany wodą materiał z prędkością trzech centymetrów na godzinę.

Każdy z czternastu bloków został dokładnie zinwentaryzowany, opisany i sfotografowany. Potem nastąpiły przyjęcie podstawy i korekty kształtów grani. Po obróbce płyt wykonano szablony podstaw i wyznaczono miejsca oraz ustalono długość nawiertów na kotwy stalowe do zatopienia w fundamencie. Równolegle zostały wybrane i sprowadzone metalowe litery i cyfry, które mocowane na każdym szczycie pokazywały jego wysokość i nazwę. Zostały one tak zlokalizowane i ustawione, aby ustawione później wyższe lub szersze płyty tych napisów nie przesłaniały. Konkretne rozmiary i grubości przywiezionych ze Szwecji płyt i uzyskane po przecięciu bloki zmusiły autorów rzeźby do zmian i korekt w stosunku do projektu i makiety. Zmiany były dokonywane właściwie na gorąco, czasem prawie w ostatniej chwili, bo w trakcie montażu i ustawiania bloków w Cetniewie. Tak więc wyselekcjonowano pięć najwyższych szczytów na Ziemi, tzw. „wysokie" ośmiotysięczniki, i udało się uzyskać smukłość „góry gór" przy K2, masywność Makalu i najwyższy wierzchołek Everestu umieszczony w sąsiedztwie Lhotse w samym środku rzeźby. Dhaulagiri ze względu na bardzo fakturalną powierzchnię skały osadowej, jakby z zachowanymi „morskimi falami", została ustawiona jako pierwsza. Za nią schowane niższe Gasherbrumy, wysunięte na boki ze względu na wyjątkową urodę pasiastych płyt. Także przy Cho Oyu udało się wyeksponować oryginalny rysunek jakby skalnej pajęczyny na płycie. Rzeźbę od strony morza zamykają Nanga Parbat i Annapurna – ta ostatnia jako pierwszy zdobyty przez człowieka ośmiotysięcznik.

Jerzy Szczepankowski bardzo dążył do tego, by zacząć stawiać płyty kamienne, gdy tylko pojawią się wiosenne warunki; bardzo naglił w tej sprawie Leona Czerwińskiego. I tak w poniedziałek 7 kwietnia nastąpił ten dzień: ekipa firmy „Murkam", nadzorowana przez Marzenę i Jacka Bruzdowiczów, szczególnie zakresie odpowiedniego przestawiania płyt względem siebie, zaczęła stawianie „ośmiotysięczników". Na początku pojawiły się problemy z odpowiednim kotwieniem kamiennych bloków w fundamencie, ale z czasem ekipa nabrała wprawy i płyty podnoszone dźwigiem samochodowym, grzecznie stawały we właściwym miejscu. Pierwszego dnia stanęło sześć ośmiotysięczników, w tym najwyższy, prawie pięciometrowy „Everest". Marzena i Jacek mieli dużo satysfakcji, gdy okazało się, że po postawieniu płyt, wszystkie uprzednio zamocowane mosiężne napisy z nazwami ośmiotysięczników ułożone były idealnie poziomo. Następnego dnia, już w dość intensywnym deszczu, zostały zamontowane pozostałe płyty i rzeźba, podparta jeszcze belkami, tkwiąca w surowym betonowym fundamencie, nabrała zaplanowanego od dawna kształtu. Mokre kamienne powierzchnie płyt miały jakiś magnetyzm, gdy podszedłem do nich bliżej, miałem wrażenie, jakbym był tuż pod stromą górską granią. Mokre płyty eksponowały swoje czerwonawe i szare pasy, lśniły mimo granatowego nieba, aż prosiły się o sfotografowanie.

Marzena i Jacek jeszcze kilkakrotnie przyjeżdżali do Władysławowa, nadzorując montaż oświetlenia czy też układanie nawierzchni wokół rzeźby. Niesamowite było ich społeczne zaangażowanie w to przedsięwzięcie, jak niedawno obliczyli, ponad trzydzieści razy przyjeżdżali do Władysławowa, na początku w sprawach koncepcyjno-formalnych, a później nadzorując budowę. A ile razy byli w firmie kamieniarskiej pod Przodkowem, ile czasu zajęło im „zaklepanie" projektu we władzach miasta, ile czasu poświęcili na przemyślenia, chociażby te w kwestii ustawienia płyt względem siebie? Oni sami wiedzą o tym najlepiej. A Jacek jeszcze dwa razy jeździł do Szwecji…

Jak tylko zaczął sią montaż rzeźby, zająłem się nagłośnianiem jej budowy w mediach. O ile portale wspinaczkowe, jak wspinanie.pl, Góry, Taternik, ochoczo publikowały informacje o przebiegu budowy i o zapowiadanej uroczystości odsłonięcia monumentu, to publiczna telewizja i najwięksi emitenci zapowiedzieli, że podejmą temat w czasie odsłonięcia rzeźby. Jedynie stacja TVN24 zamieściła o tym informację na swojej stronie, a rozgłośnia RMF informowała o tych wydarzeniach na antenie i na swojej stronie.

Wystosowałem także apele o wsparcie budowy do naszej społeczności Klubu Wysokogórskiego „Trójmiasto" i do Stowarzyszenia Podróżników „Horyzont". Spotkały się jednak z nikłym odzewem.

Jak tylko został ustalony termin uroczystości odsłonięcia rzeźby i gwiazd u jej podnóża, zaczęliśmy powiadamiać osoby najbardziej zainteresowane, czyli himalaistów uhonorowanych gwiazdami. Krzysiek Wielicki oraz Piotr Pustelnik od razu potwierdzili swój przyjazd, natomiast Kinga Baranowska planowała w tym czasie uczestnictwo w wysokogórskiej wyprawie. Na szczęście jej termin wyjazdu uległ zmianie i w połowie czerwca Kinga potwierdziła udział w uroczystości. Do odsłonięcia gwiazdy Jurka Kukuczki poprosiliśmy Cecylię Kukuczkę, wdowę po Jurku, do odsłonięcia gwiazdy Wandy Rutkiewicz – Anię Okopińską, partnerkę Wandy z jej wypraw. Gwiazdę Andrzeja Zawady miała odsłaniać Anna Milewska, wdowa po Andrzeju. Januszowi Onyszkiewiczowi udział w przebiegu naszej uroczystości kolidował z kongresem jego partii politycznej, w końcu jednak kongres został przełożony i Janusz zdecydował się na przyjazd.

Niezależnie od gwiazd, założeniem naszego projektu było zamocowanie na poszczególnych „ośmiotysięcznikach" mosiężnych tablic, informujących o autorach i datach najważniejszych polskich wejść sportowych. Co roku

mieliśmy odsłaniać tablice na kolejnym „szczycie". Zatem na czas czerwcowej uroczystości przygotowaliśmy tablice do zamocowania na płycie wyobrażającej Mount Everest. Treść tablic, skonsultowana z Januszem Kurczabem, niekwestionowanym ekspertem polskiej eksploracji Himalajów, przedstawiała się następująco: Wanda Rutkiewicz – pierwsze polskie wejście, 16.10.1978 r.; Leszek Cichy, Krzysztof Wielicki – pierwsze wejście zimowe – 17.02.1980 r.; Andrzej Czok, Jerzy Kukuczka – nowa droga południowym filarem – 19.05.1980 r.; Eugeniusz Chrobak, Andrzej Marciniak – pierwsze polskie wejście kuluarem Hornbeina – 24.05.1989 r.; Marcin Miotk – pierwsze polskie wejście bez użycia dodatkowego tlenu – 5.06.2005 r.

W związku z tym zaprosiliśmy wdowy po nieżyjących himalaistach, Wandę Czok, Grażynę Chrobak, Agnieszkę Marciniak, i oczywiście, Marcina Miotka. Dla Marka, Jacka, dla mnie, dla naszego środowiska wspinaczkowego oczywistym było zaproszenie wdów po naszych Kolegach, którzy zginęli pod Everestem w 1989 roku, podczas wyprawy, którą organizowaliśmy i która zakończyła się jakże tragicznie. Zaprosiliśmy Elę Gardzielewską. Elę Dąsal, Adę Otrębę a także uczestników tamtej wyprawy: Janusza Majera i Jacka Jezierskiego. Wysłaliśmy zaproszenia do władz Polskiego Związku Alpinizmu, ale też do wybitnych alpinistów, związanych z polskim sukcesami w Himalajach i Karakorum w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku: Wojtka Kurtyki, Krystyny Palmowskiej, Anny Czerwińskiej, Ryszarda Dmocha, Ryszarda Kowalewskiego, Janusza Kurczaba, Bogdana Jankowskiego… Nie byliśmy w stanie zaprosić wszystkich, stwierdziliśmy, że gdy będziemy odsłaniali co roku tablice na poszczególnych „szczytach", to rozkładając zaproszenia na lata, będziemy mieli możliwość zaproszenia i goszczenia wszystkich wybitnych zdobywców wraz z rodzinami.

Gdy tylko informacje o uroczystości pojawiły się w sieci, napisała do mnie Ania Okopińska, która dokonała pierwszego polskiego wejścia na Gasherbrum II już w 1975 roku, żaląc się, że na swoją uroczystość musi czekać aż trzynaście lat. Zaczęliśmy się zatem zastanawiać, czy nie skrócić tego okresu oczekiwania i co roku odsłaniać tablice na dwóch ośmiotysięcznikach.

Zamieszczone w sieci fotografie mosiężnych tablic gotowych do zamocowania na „Evereście" bardzo krytycznie zostały ocenione przez mojego serdecznego kolegę Michała Rybickiego, architekta z bardzo dużym stażem. Michał wprost napisał, że tablice będą wyrywane przez złomiarzy, ale przede wszystkim, że będą oszpecały rzeźbę i powinny być wygrawerowane w skale. Pozwoliłem sobie na samowolę i bez zgody twórców wysłałem prośbę o opinię w tej sprawie do wielu ludzi związanych ze sztuką. Dostałem wiele obszernych, pełnych zaangażowania odpowiedzi. Większość moich korespondentów, architektów, konserwatorów zabytków, artystów zdecydowanie była za zastąpieniem tablic napisami wykutymi w ścianie. Gdy przedstawiłem tę korespondencję twórcom, okazało się wykucie napisów w skale jest problematyczne z powodów technicznych, ze względu na charakter kamienia i jego kruchość.

Julia Tarnowska, niegdyś związana z naszym Klubem Wysokogórskim, nauczycielka plastyki w Olsztynie, zaproponowała zamocowanie tablic z dwuwarstwowego tzw. „bezpiecznego" szkła. Argumentacja Julii była następująca: „Tabliczki takie nie są konkurencyjne w stosunku do nazw szczytów, nieingerujące w formę skalnych bloków, połyskują subtelnie w słońcu, są łatwe do ewentualnego dorobienia czy wymiany, napisy będą czytelne, podkład – czyli szkło – pokaże kamień pod spodem". Po długiej naradzie roboczej, kiedy to przeanalizowano możliwość wyrywania tablic mosiężnych przez złomiarzy, profesor Sławoj Ostrowski zgodził się na odstąpienie od koncepcji mosiężnych tablic, podjęto decyzję o zamocowaniu tablic z tzw. „bezpiecznego" szkła.

Przy okazji tej dyskusji otrzymałem bardzo wiele pochlebnych opinii na temat rzeźby, Chwalono pomysł, inicjatywę, piękno jej kompozycji przestrzennej, surowość, kolor i fakturę piaskowca. Otrzymywałem dużo gratulacji (przekazywałem je, rzecz jasna, dalej). Wyrazy uznania były na każdym kroku, a najdobitniej wyraził je Reinhold Messner w czasie uroczystości otwarcia, podkreślający artyzm rzeźby. Przy okazji tej rozległej korespondencji odświeżyłem kilka starych znajomości, w tym z druhem sprzed wielu lat, Andrzejem Zdyrą, wybitnym konserwatorem zabytków, profesjonalistą z czterdziestoletnim stażem pracy w kamieniu, który z dużym zaangażowaniem podszedł do dyskusji na temat tablic i przysłał obszerny list – artykuł, z wielkim znawstwem odnoszący się do powstałej rzeźby, z szerokimi przemyśleniami dotyczącymi przyszłej konserwacji kamienia. List Andrzeja powinien znaleźć się w archiwum budowy rzeźby na poczytnym miejscu.

Zdecydowanie największą część pracy przy organizacji uroczystości otwarcia rzeźby wziął na siebie Jerzy Szczepankowski. On miał już bardzo duże doświadczenie zdobyte podczas poprzednich czternastu edycji w Alei Gwiazd Sportu, jednakże wiedzieliśmy, że przygotowywana na 28 czerwca uroczystość, będzie miała bogaty program i będzie wymagała wielu dodatkowych czynności. Z Markiem Roslanem i Bruzdowiczami staraliśmy się zatem jak najbardziej odciążyć Jerzego.

Podczas kilku narad roboczych we Władysławowie, Jerzy przedstawił nam swój program przeprowadzenia imprezy. Uroczystość otwarcia miała rozpocząć się o godzinie siedemnastej, miała ją poprzedzić konferencja

prasowa o godzinie szesnastej w pobliskim Ośrodku Przygotowań Olimpijskich, z udziałem himalaistów uhonorowanych gwiazdami.

Zapoznając się z kwestiami technicznymi uroczystości, zorientowaliśmy się z jakim wielkim rozmachem przygotowywana jest ta impreza. Na czas uroczystości została specjalnie sprowadzona z Wrocławia trybuna na 400 osób dla zaproszonych gości, przygotowano dużą podwyższoną scenę, przeznaczoną do prowadzenia uroczystości, a także tzw. ogródek dla VIP-ów z wielkimi parasolami i eleganckimi szerokimi kanapami. Do pomocy w przeprowadzeniu uroczystości zostali poproszeni uczniowie klas mundurowych z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych w Kłaninie, którzy otrzymali zadanie wypuszczania, w miarę zapowiedzi prowadzącego, balonów nadmuchanych helem, do których były przyczepione szarfy z nazwami ośmiotysięczników. Również do balonów miały być przyczepione banery z nazwami sponsorów, które powinny być wypuszczane w górę przez osoby odsłaniające gwiazdy. Reinhold Messner miał odsłaniać swoją gwiazdę banerem, wznoszonym przez trzy balony w kolorach białym, czerwonym i zielonym, nawiązujących do kolorów flagi włoskiej (Messner jest Tyrolczykiem i zarazem obywatelem Włoch). Pozostałe banery miały być wznoszone przez dwa balony: biały oraz czerwony.

Praktycznie na głowie Jerzego były wszelkie sprawy formalne i techniczne, pozwolenia, mikrofonizacja (na stojakach na scenie było pięć mikrofonów), nagłośnienie, postawienie barierek, wynajęcie firmy ochraniarskiej, zakup kwiatów, zlecenie wykonania niestandardowych dyplomów i miniatur gwiazd w eleganckim etui, załatwienie wyrzutni złotych pasków konfetti, przygotowanie i wysłanie zaproszeń, wydrukowanie plakatów, pocztówek i identyfikatorów dla VIP-ów, zorganizowanie konferencji prasowej i noclegów dla gości, montaż gwiazd u podnóża rzeźby. A poza tym miał być jeszcze bankiet na trzysta osób i niezwykle efektowny, nocny pokaz sztucznych ogni. I jeszcze Jerzy załatwił poprzez Wojewodę Pomorskiego przyjęcie Reinholda Messnera na lotnisku w Rębiechowie według procedury VIP-a, a także występ orkiestry Straży Granicznej, poprzedzającej uroczystość odsłonięcia rzeźby. Podejrzewam, że tych spraw było znacznie więcej.

W czasie roboczych spotkań czyniliśmy starania, by w miarę możliwości włączyć się w sprawy organizacyjne i jak najbardziej odciążyć Jerzego. Zaproponowaliśmy, że laudację o osobach uhonorowanych gwiazdami i tablicami na „Evereście" opracuje i wygłosi Dorota Kobierowska, na moją głowę spadło dopilnowanie przyjazdów wszystkich laureatów i zaproszonych gości i w uzgodnieniu z Jerzym odpowiednie ich zakwaterowanie. Postarałem się o noclegi dla osób chcących przyjechać na imprezę. Podjąłem się również akcji medialnej, powiadomiłem prawie wszystkie polskie media, uruchamiając swoje kontakty; podobną działalność swoimi kanałami prowadził także Jerzy. Zaproponowałem, by program uroczystości wzbogacił występ bębniarskiego zespołu „Kuka kilke", prowadzonego przez Annę Kwidzińską. Zapewniałem, że dynamiczna gra zespołu, będzie bardzo pozytywnym, barwnym akcentem podczas podniosłych momentów uroczystości, czyli odsłaniania rzeźby i gwiazd. Propozycja spotkała się z przychylnym odbiorem, zatem zaprosiłem zespół na imprezę. Podjąłem się też załatwienia tłumacza i razem z Markiem Roslanem odbioru Reinholda Messnera z lotniska. Czyniłem starania, by imprezę poprowadził Maciej Orłoś, różne zbiegi okoliczności sprawiły, że ostatecznie poprowadził ją, bardzo sprawnie, Sławomir Siezieniewski. Marek Roslan podjął się napisania tekstu o himalaistach, którzy zginęli na Evereście.

Bardzo szybko zbliżał się termin uroczystości. Jerzy zajęty był monitorowaniem całej logistyki, Marzena z Jackiem pilnowali oświetlenia, ułożenia granitowej kostki w nawierzchni wokół rzeźby i zamocowania tablic na „Evereście", ja każdego dnia uzgadniałem szczegóły przybycia zaproszonych honorowych gości, stopniowo powiadamiałem media, pomagałem Dorocie Kobierowskiej w ułożeniu laudacji. Kilka dni przed imprezą napisaliśmy pismo do Messnera, informujące o stanie naszej gotowości.

Niestety nie wszyscy mogli przyjechać do Władysławowa, Ania Milewska, tuż przed przyjazdem poważnie zachorowała i odwołała swój udział w uroczystości (a tak starałem się znaleźć transport dla Ani z Warszawy do Władysławowa). Różne ważne sprawy życiowe sprawiły, że również Ania Czerwińska, Wojtek Kurtyka, Grażyna Chrobak, Ela Dąsal, Leszek Cichy i Andrzej Paczkowski z żalem powiadomili, że nie dadzą rady uczestniczyć w naszej uroczystości. W związku z nieobecnością Ani Milewskiej, podjęliśmy decyzję, że gwiazdę Andrzeja Zawady odsłoni Janusz Onyszkiewicz, prezes Polskiego Związku Alpinizmu. Janusz miał też wcześniej wyznaczone inne zadanie: odsłonić tablice zamocowane na „Evereście".

Wcześniejsze powiadomienie mediów przyniosło pewien efekt. Irena Łaszyn, dziennikarka o bardzo dobrym piórze, napisała w piątkowych „Rejsach", części składowej „Dziennika Bałtyckiego", najbardziej poczytnej gazety na Pomorzu, ciekawy felieton na dwie kolumny, przejrzyście oddający ideę i historię powstania rzeźby. Wiadomość o otwarciu podało wiele portali internetowych, czasopismo „n.p.m." zamieściło mój artykuł o rzeźbie. Moje zaangażowanie w nagłośnienie imprezy, miało też ten skutek, że byłem zasypywany prośbami przez dziennikarzy, filmowców i organizatorów górskich imprez w Polsce o umożliwienie kontaktu z Messnerem

w celu przeprowadzenia wywiadu czy zaproszeniu go ponownie do Polski. Wiedziałem, że z dziennikarzami będę miał trudny orzech do zgryzienia.

Sztuka znalezienia dobrego tłumacza, mimo moich rozległych znajomości w środowisku anglistycznym, okazała się nie taka całkiem prosta. W cichości liczyłem na Sylwię Pikiel, która pomagała w tłumaczeniu tekstów do zachodnich portali wspinaczkowych, ale Sylwia miała w tym czasie ważne uroczystości rodzinne, kilku znajomym anglistom także ten termin nie był „po drodze". I w końcu za pośrednictwem Olgi Kubińskiej dotarłem do Pauli Gorszczyńskiej z Zakładu Translatoryki Instytutu Anglistyki Uniwersytetu Gdańskiego. Pani Paula podeszła z zaangażowaniem do mojej prośby, rozesłała wici, kilkakrotnie je ponawiała i okazała się skuteczna. W przeddzień imprezy zgłosiła się do pomocy Alina Boczoń, studentka pierwszego roku translatorycznych studiów magisterskich.

Po Reinholda Messnera na lotnisko do Rębiechowa pojechaliśmy z Markiem Roslanem jego samochodem. Po drodze na Morenie zabraliśmy Alinę Boczoń, tłumaczkę. Alina profesjonalnie podeszła do tłumaczenia, spędziła pół nocy przy komputerze, osłuchując się na youtubie, jak to określiła, z „tyrolskim" angielskim Messnera. Zażyczyła sobie również, byśmy wspólnie odebrali Messnera z lotniska, by w drodze do Władysławowa zapoznać się z osobą, którą będzie tłumaczyła.

Skorzystaliśmy oczywiście z załatwionej wcześniej VIP-owskiej procedury odbioru gościa. Reinholda Messnera powitaliśmy w rękawie przy drzwiach samolotu. Messner spojrzał na mnie i do razu powiedział, że gdzieś się kiedyś musieliśmy spotkać. Przypomniałem mu nasze spotkanie w Patagonii w 1984 roku i okazało się Messner pamięta okoliczności tego spotkania. Później wręczyłem mu „laurkę" – opisane zdjęcie, gdzie widniejemy także z Hansem Kammerlanderem.

Od razu widać było, że nasz gość ma duże obycie w tego typu wyjazdach; jego bagaż składał się z dużej skórzanej aktówki, tak więc od razu wyruszyliśmy do Władysławowa. Słusznie spodziewając się korków na głównej drodze, pojechaliśmy trochę okrężną, krętą ale za to lesistą, urokliwą drogą przez Koleczkowo, Wejherowo i Piaśnicę. Jechaliśmy w deszczu i trochę martwiliśmy się z Markiem o przebieg uroczystości. Rozmowa z Messnerem w samochodzie była bardzo przyjazna. Wypytywał o wiele rzeczy w Polsce, interesowała go sytuacja ekonomiczno-społeczna w kraju, podobał mu się lesisty krajobraz Kaszub, zwrócił uwagę na dużą ilość nowo wybudowanych domów, dopytywał się, z kim to wygraliśmy w bitwie pod mijanym po drodze Świecinem w 1462 roku. Po drodze opowiedzieliśmy Messnerowi nie tylko historię powstania rzeźby, zdążyliśmy co nieco powiedzieć o Kaszubach i Pojezierzu Kaszubskim. Gdy wjechaliśmy do Władysławowa, zobaczyliśmy przygotowaną infrastrukturę imprezy tonącą w rzęsistym deszczu.

Konferencja prasowa, prowadzona przez Sławomira Siezieniewskiego, znanego dziennikarza telewizyjnego, przebiegła nadzwyczaj sprawnie, przybyło na nią wielu dziennikarzy, sportowców, działaczy sportowych, uczestniczyli w niej także licznie koleżanki i koledzy z Klubu Wysokogórskiego „Trójmiasto". Przybyli również alpiniści i himalaiści z różnych stron Polski.

Jerzy Szczepankowski otworzył konferencję, powitał wszystkich gości i do długiego stołu prezydialnego zaprosił: Reinholda Messnera, Krzysztofa Wielickiego, Piotra Pustelnika, Janusza Onyszkiewicza i Kingę Baranowską, a także twórców rzeźby Marzenę i Jacka Bruzdowiczów. Profesor Sławoj Ostrowski nie przyjechał na uroczystość. Rzucało się w oczy, że podczas konferencji jest prowadzona przysłowiowa „gra do jednej bramki"; głównym jej bohaterem był Messner, który obszernie w sposób bardzo przyjazny wypowiedział się o dorobku i sukcesach polskich himalaistów, podkreślając „złoty okres" lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, Z wystąpienia Messnera można było poznać jego dużą wiedzę o aktualnej sytuacji polskiego himalaizmu, zresztą nie tylko polskiego. Tłumaczka, Alina Boczoń, miała trochę problemów z nieznanym jej nazewnictwem górskim, ale dzielnie sobie radziła. Wypowiedzi polskich himalaistów były bardzo konkretne, odnoszące się do nobilitującego ich zaistnienia w Alei Gwiazd Sportu. Janusz Onyszkiewicz nawiązał do spotkania z Messnerem podczas wyprawy w Hindukuszu Afgańskim w 1972 roku (Janusz się pomylił i powiedział w 1974 roku). Poważna atmosfera konferencji znacznie zelżała, kiedy Marzena i Jacek Bruzdowiczowie ze swadą, wręcz anegdotycznie, opowiadali o koncepcji i historii budowy rzeźby, tworzyli na miejscu jej legendę. Niestety, pod koniec konferencji nastąpił przykry incydent. Jerzy Jakobsche, dziennikarz PAP, wykazał się całkowitym brakiem taktu i zadał Messnerowi pytanie o jego najtrudniejsze chwile na wyprawach. Większość alpinistów odebrała to pytanie jako podłe, wręcz poniżej pasa. Wiadomo było, że chodziło o tragiczną wyprawę na Nanga Parbat, gdzie Messner stracił brata, odmroził sobie palce i był potem niesłusznie oskarżany o jego śmierć. Ta wyprawa na pewno była dla niego dużą traumą. Widać było, że to pytanie trochę dotknęło Messnera, pogodny nastrój znikł z jego twarzy, ale taktownie i rzeczowo odpowiedział na to pytanie. Szkoda, bo taka konferencja prasowa powinna być w pogodnym klimacie, to nie jest ten czas, kiedy gnębi się piłkarzy po kolejnym przegranym meczu. Na szczęście był to jedyny niemiły akcent całej uroczystości.

Konferencja prasowa skończyła się o czasie i mogliśmy spokojnie przejść z Ośrodka Przygotowań Olimpijskich do pobliskiej Alei Gwiazd Sportu. Po drodze Jacek Bruzdowicz opowiedział Messnerowi całą historię powstania rzeźby. Messner był ciekaw wielu szczegółów. Jeszcze w czasie konferencji Jerzy Szczepankowski pokazał mu prezent, jaki otrzymał z okazji odsłonięcia monumentu. Była to miniaturowa replika rzeźby „Korona Himalajów", wykonana w tym samym piaskowcu ze Szwecji, oczywiście, przez niezawodną firmę „Murkam" Leona Czerwińskiego,

I nastąpił prawdziwy cud. W czasie konferencji prasowej przestał padać deszcz, a gdy już doszliśmy do Alei Gwiazd Sporu, pojawiło się słońce. Widać, proboszcz we Władysławowie modlił się gorliwie o pogodę, tak jak go poprosił Jerzy Szczepankowski.

Na miejscu zastaliśmy wszystko gotowe na rozpoczęcie uroczystości, nad kamiennymi blokami powiewały różnokolorowe balony, trzymane przez młodzież w uniformach wojskowych ze szkoły w Kłaninie, stojącą w równych szeregach po obydwu stronach rzeźby, a także przez dzieci w dresach sportowych. Młodzież przytrzymywała szarfy i banery, gotowe do wypuszczania w powietrze w odpowiednim czasie. Wokół rzeźby, niczym pszczoły przy ulu, kręcili się fotografowie i kamerzyści.

Bardzo szybko trybuny i eleganckie kanapy w „ogródku VIP-owskim" zapełniły się zaproszonymi gośćmi, przy okazji udało mi się wprowadzić na trybuny znajomych, głównie z Klubu Wysokogórskiego „Trójmiasto", tych którzy przyszli na czas. W swojej gorliwości chciałem wyprosić z kanapy przeznaczonej dla Messnera jakiegoś pana w garniturze, który okazał się ważnym sponsorem imprezy…

Uroczystość przebiegła tak jak sobie zaplanowaliśmy. Sławek Siezieniewski powadził ją dynamicznie i sprawnie. Jerzy Szczepankowski powitał przybyłych gości. Pierwsza część oficjalna była stosunkowo krótka, pani burmistrz Władysławowa mówiła konkretnie, podobnie jak przedstawiciele władz samorządowych, państwowych i sportowych. Jerzy Szczepankowski zapowiedział spóźnienie wojewody, który utknął w korku samochodowym. Jerzy skomentował: „ I może dobrze, że tak się stało, niech władza wie, jakie mamy drogi!!" Komentarz się spotkał z wielką sympatią.

Reinhold Messner został poproszony o odsłonięcie rzeźby, stopniowo wylatywały, anonsowane przez Sławka Siezieniewskiego, balony z przymocowywanymi szarfami z nazwami szczytów. Każde wypuszczenie balonu uwydatniane było przez pełne temperamentu i wigoru werble zespołu bębniarskiego. Również później zespół ten ożywiał atmosferę uroczystości i mocno akcentował swoją werwą i kunsztem odsłanianie poszczególnych gwiazd. Może nie wszystkie balony wylatywały zgodnie z zapowiedzią Sławka Siezieniewskiego, ale to w niczym nie psuło wyjątkowości tych chwil. Gdy doszliśmy do etapu odsłaniania gwiazd, umieszczonych do obydwu stronach rzeźby, poproszono Dorotę Kobierowską o wygłaszanie laudacji. Miała trochę trudną sytuację, bo Sławek Siezieniewski podszedł gorliwie do sprawy i wprowadzał dość długie słowo wstępne o uhonorowanych osobach, ale Dorota dobrze sobie poradziła. Mówiła z zaangażowaniem i dobrą dykcją, widać było, że wygłaszany tekst nie był jej obojętny.

Reinhold Messner, Krzysztof Wielicki, Piotr Pustelnik i Kinga Baranowska, czyli żyjący laureaci, byli proszeni indywidualnie na scenę i usadawiani na wielkim czerwonym fotelu na czas wygłaszania laudacji. Reinold Messner w bardzo ciepłych słowach podziękował za to wyróżnienie, podkreślił klasę polskiego himalaizmu, ale też zwrócił uwagę na wielki artyzm rzeźby, na unikatowy pomysł i przedsięwzięcie. Alina Boczoń z wdziękiem i urodą radziła sobie z tłumaczeniem. Krzysztof Wielicki, co prawda wielki twardziel, ale widać było, że cała uroczystość robiła na nim wrażenie, Piotr Pustelnik i tym razem nas nie zawiódł, swobodnie i dowcipnie odniósł się do swojej drogi życiowej, która doprowadziła go na tak honorowe miejsce. W wypowiedzi Kingi było czuć wielkie wzruszenie. Czuło się to również u Cecylii Kukuczki i Anki Okopińskiej, kiedy wraz ze sponsorami odsłaniały gwiazdy Jerzego Kukuczki i Wandy Rutkiewicz.

Miałem trochę czasu na obserwację zaproszonych gości i licznych ludzi tłoczących się za barierkami; te chwile odsłaniania gwiazd, kiedy banery na balonach, w łoskocie grzmiących bębnów i huku wystrzelanych złotych konfetti, wylatywały w górę, sprawiały, że mało kto był obojętny. Szczególnie podniosły i pełen wzruszeń był moment, kiedy Jerzy Szczepankowski przypomniał wszystkim o polskich himalaistach, którzy zginęli na Evereście i poprosił wszystkich o powstanie i uczczenie ich minutą ciszy.

Uroczystość trwała już dość długo, a że w zamieszaniu przy wypuszczaniu balonów wyleciała szarfa przygotowana na odsłonięcie tablic na „Evereście", co miał zrobić Janusz Onyszkiewicz, Jerzy zadecydował o skończeniu jej. Trochę zaprotestowałem, bo z Dorotą Kobierowską przygotowaliśmy laudację o tych wybitnych polskich wejściach na Everest, ale widać taka miała być dyscyplina prowadzenia imprezy. Z chwilą zakończenia na terenie uroczystości pojawiło się mnóstwo osób, tych zza barierek i z trybuny, w większości miłośników gór. Nastąpiło prawdziwe szaleństwo fotografowania, prawie każdy chciał mieć zdjęcie z nagrodzonymi himalaistami na tle

rzeźby. Szczególnie oblężony był Messner, podziwiałem go jak spokojnie i z uśmiechem pozował do zdjęć z napierającymi zewsząd ludźmi. I jeszcze co chwila podsuwane były jego książki z prośbą o autograf. Messner z niezwykłą cierpliwością i pogodą ducha ustawiał się do zdjęć i wypisywał autografy. Ja w tym czasie już byłem mocno nagabywany przez dziennikarzy i filmowców w sprawie umożliwienia im przeprowadzenia wywiadów z Messnerem.

W końcu udało mi się wydobyć Messnera z całego tego, skądinąd sympatycznego, zamieszania i skierowaliśmy się na pobliski teren Ośrodka Przygotowań Olimpijskich, gdzie laureaci mieli posadzić pamiątkowe klony. W trakcie sadzenia drzew przez himalaistów, nie obeszło się bez jakże typowych dla naszego środowiska wspinaczkowego, niewinnych komentarzy typu: „Zobacz, Kinga Baranowska o wiele lepiej radzi sobie z łopatą niż Messner, widać pracowała w gospodarstwie rodziców."

Uroczysty bankiet rozpoczął się o dwudziestej. Uczestniczyli w nim nie tylko alpiniści, ale też sportowcy uhonorowani gwiazdami w poprzednich edycjach Alei Gwiazd Sportu, przedstawiciele władz, sponsorzy, wykonawcy rzeźby i osoby, które przyczyniły się do pomyślnego przebiegu imprezy. Atmosfera na bankiecie była bardzo radosna, niewątpliwie wpłynęły na to zadowolenie z udanej i dobrze zorganizowanej uroczystości jak i wyborne kulinaria. Ze wszystkich stron otrzymywałem gratulacje za wspaniałą imprezę, oczywiście osoby z gratulacjami przekierowywałem do Jerzego. W pewnym momencie Jerzy Szczepankowski nas niesamowicie zaskoczył, wręczając Marzenie i Jackowi Bruzdowiczom, Dorocie Kobierowskiej, Markowi Roslanowi i mnie dziękczynne dyplomy z medalami w eleganckim etui. Dyplomy te wzbudziły żywe zainteresowanie na sali.

Oczywiście, dziennikarze o mnie nie zapomnieli i od samego początku bankietu byłem nagabywany o jak najszybszą możliwość przeprowadzenia wywiadów z Messnerem. Pozwoliłem jednak naszemu gościowi, by choć trochę zjadł i nacieszył się rozmową z siedzącymi z nim przy stole Januszem Onyszkiewiczem, Krzyśkiem Wielickim, Januszem Majerem czy Piotrkiem Pustelnikiem. Gdy w końcu udało mi się wyrwać Messnera z sali bankietowej, znów podziwiałem jego cierpliwość i rozległą wiedzę górską, gdy obszernie i rzeczowo, a też pogodnie, odpowiadał filmowcom i dziennikarzom na liczne pytania.

Tuż przed północą mieliśmy jeszcze jedną atrakcję, wgapieni w zachwytem w niebo oglądaliśmy bardzo efektowny pokaz ogni sztucznych, przygotowany specjalnie z okazji XV Edycji Alei Gwiazd Sportu.

W niedzielę nad ranem w ulewnym deszczu pojechaliśmy z Markiem Roslanem na lotnisko, by odwieźć naszego gościa, którego przekonaliśmy, że warto jeszcze po drodze zwiedzić Główne Miasto. Nie powiem, Messner był pod wrażeniem naszej Gdańskiej Starówki, z podziwem patrzył na kamienice na Długim Targu czy na przedproża ulicy Mariackiej. Czasu nie było dużo, ale jeszcze zawitaliśmy do Bazyliki Mariackiej i do Muzeum Bursztynu w Bramie Więziennej. Z wielkim zainteresowaniem Messner oglądał inkluzje w bursztynie i ciekawe tamtejsze animacje multimedialne. Przegoniliśmy Messnera aż na sam wierzchołek Bramy Więziennej, skąd mieliśmy się bardzo dobry widok na Główne Miasto z całą niemal Drogą Królewską.

Na lotnisku w Rębiechowie czekaliśmy ponad godzinę na samolot. Był czas na spokojną rozmowę, dużo dowiedzieliśmy się o trybie życia Messnera, o jego muzeum, o tym, czym kieruje się, podejmując temat kolejnej nowej książki. Na koniec bez specjalnej kokieterii, wprost powiedział, że jest zapraszany na liczne kongresy górskie czy festiwale filmowe, otrzymuje tam liczne medale lub dyplomy, ale nigdzie na świecie nie odsłaniał swojej gwiazdy ani nie spotkał się z takim artystycznym dziełem, jakie powstało we Władysławowie. Podkreślił jego wartość edukacyjną. Wprost powiedział: „Przecież taki młody chłopak będzie szedł Aleją, zobaczy na skale napis Annapurna i może go to zainteresuje, spojrzy do Internetu, sięgnie do książek." Powiedzieliśmy, że niezależnie od piękna rzeźby, zadaniem twórców jak i środowiska alpinistycznego było oddanie hołdu polskim himalaistom i zachowanie w zbiorowej pamięci ich nazwisk i osiągnięć.

Gdy wracaliśmy z Markiem do domów, mimo zmęczenia po imprezie, zaczęliśmy rozmawiać o tym, że niebawem warto wszcząć starania, by w najbliższych latach we Władysławowie powstały „siedmiotysięczniki", upamiętniające polskie wejścia na: Nanda Devi East, Noszak, Kunyang Chhish, Gasherbrum IV czy Kangbachen.

*Michał Kochańczyk*

# GÓRY I KULTURA

## 175 lat przewodnika Lohmeyera (Biuletyn nr 5), uzupełnienie

Należy dodać, że przewodnik Lohmeyera był pierwszym opublikowanym (wydrukowanym) przewodnikiem tatrzańskim. Pierwszy w ogóle przewodnik (nie licząc spisków, czyli „przewodników"poszukiwaczy skarbów) po Tatrach, pod tytułem *Wegweiser durch die Zipser karpatischen Alpen oder Beobachtungen und Erfahrungen in den Zipser karpatischen Alpen,* już w roku 1826 opracował w rękopisie Thomas Tobias Mauksch.

*Małgorzata Kiełkowska*

# WEGA-SUPLEMENT

**Albrizzio, Manuel (WEGA t. VI, s. 12),** uzupełnienie: zdjęcie.

Manuel Albrizio, fot. M. Krawczyk

**Fiala, Ivan (WEGA t. VI, s. 236),** uzupełnienie: zmarł 13.07.2018. MKi

**Hunsdorfer senior, Johann (Ján) (WEGA t. VI, s. 350),** uzupełnienie: urodzony 11.04.1850 w Wielkim Sławkowie. JKi

**Kantyka, Jacek** (17.06.1960 Bielsko-Biała - ), polski taternik, alpinista, wspinacz skałkowy, działacz organizacyjny. Z zawodu mgr inż. budownictwa, abs. Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Wspina się od 1977 roku. W skałkach Jury (gdzie przechodził trudności 7b+ RP) dokonał m.in. pierwszych prowadzeń *Zawierciańskiego Syfonu* na Flaszce i *Lotu nad Kukułczym Gniazdem* na Baszcie w Skałkach Rzędkowickich. W Tatrach m.in. dokonał pierwszych przejść klasycznych *drogi Długosza* i *Wish You Were Here* oraz przeszedł zimą *Wielkie Zacięcie* na Kazalnicy Mięguszowieckiej i drogę *Bad Jack* na Giewoncie. W Dolominach uczestniczył w 1.zimowym przejściu północnego filara Rocchetta Alta di Bosconero (za co otrzymał srebrny medalem Za wybitne osiągnięcia sportowe). W Yosemite przeszedł *The Nose* na El Capitanie, a w Patagonii wszedł na Fitz Roy *drogą francusko-argentyńską*. Od 2010 roku jest prezesem KW Gliwice. Zajmował punktowane miejsca w zawodach wspinaczkowych oraz w kajakarstwie górskim. W 1995 roku w ogólnopolskich zawodach w triatlonie górskim zajął indywidualnie drugie miejsce i drużynowo pierwsze. JKi

Lit.: MJK – Korespondencja.

**Terlikowski, Zbigniew** (08.03.1951 Katowice - ), „Krowa", polski taternik i alpinista, narciarz wysokogórski. Z zawodu mgr inż. górnik, abs. Politechniki Śląskiej w Gliwicach. W Tatrach m.in. przeszedł latem Filar Kazalnicy oraz *Szare Zacięcie* na Raptawickiej Turni, a zimą *drogę Długosza* oraz *Wielkie Zacięcie* na Kazalnicy Mięguszowieckiej. W Alpach w 1975 przeszedł *Filar Bonattiego* na Petit Dru i *drogę Küfnera* na Aig. du Tacul. W 1977 uczestniczył w wyprawie w Hindukusz, gdzie wszedł na Kohe Tez i na Shager Zom (1.polskie wejście); w 1978 wszedł na Pik Lenina w Pamirze. W latach 1979-2002 brał udział w wyprawach: na Dunagiri, Api (latem i zimą), Makalu (dwukrotnie zimą), Cho Oyu, Kangchenjungę (zimą), Nanga Parbat (zimą), Shisha Pangmę, Mt Everest i K2 (zimą). Uprawiał też narciarstwo wysokogórskie, nurkowanie i paralotniarstwo. W 1964 roku był wicemistrzem polski w pływaniu na 100 metrów stylem klasycznym. JKi

Lit.: MJK – Korespondencja.

**Prosimy o uzupełnienia**

**Andreotti, Andrea** (t.VII, s.74): brak pełnych dat oraz miejsc urodzenia i zgonu
**Andrich, Carlo** (t.VII, s.74): brak miejsca urodzenia oraz pełnej daty i miejsca zgonu
**Andriejew, Giendrich Gieorgijewicz** (t.VI, s.24): brak miejsca urodzenia
**Andriejew, Jurij Pawłowicz** (t.VI, s.24): brak pełnych dat oraz miejsc urodzenia i zgonu
**Andriejew, Riem Nikołajewicz** (t.VII, s.74): brak pełnych dat oraz miejsc urodzenia i zgonu
**Andriejew, Siergiej L.** (t.VI, s.24); brak portretu, pelnej daty urodzenia i miejsca zgonu
**Andriejew, Władimir Iwanowicz** (t.VI, s.24): brak miejsca urodzenia
**Andrzejewski, Sławomir** (t.VI, s.25): brak portretu oraz miejsca urodzenia i zgonu
**Ang Ch(h)ap(p)al** (t.VI, s.25): brak portretu oraz pełnej daty urodzenia
**Ang Ch(h)ot(t)are** (t.VI, s.25); brak portretu oraz pełnych dat oraz miejsc urodzenia i zgonu.
**Ang Dawa** (t.VI, s.25): brak portretu oraz pełnych dat oraz miejsc urodzenia i zgonu
**Ang Dorje(e)** (t.VI, s.25): brak pełnych dat oraz miejsc urodzenia i zgonu
**Angel, James** (t.VI, s.25): brak portretu
**Angeles Emilio** (t.VI, s.25): brak portretu oraz pełnych dat oraz miejsc urodzenia i zgonu
**Angeles Eugenio** (t.VI, s.25): brak portretu oraz pełnych dat oraz miejsc urodzenia i zgonu
**Angeles Macario** (t.VI, s.25): brak portretu oraz pełnych dat oraz miejsc urodzenia i zgonu
**Angeles Victori(a)no** (t.VI, s.25): brak portretu oraz pełnych dat oraz miejsc urodzenia i zgonu
**Angelini, Valentino** (t.VI, s.26): brak pełnych dat oraz miejsc urodzenia i zgonu
**Angerer, Hans** (t.VII, s.74): brak portretu
**Anghileri, Aldo** (t.VI, s.26): brak portretu
**Ang Kami (Sherpa)** (t.VI, s.26): brak portretu oraz pełnych dat urodzenia i zgonu
**Ang Nima (Sherpa)** (t.VI, s.27): brak pełnej daty i miejsca urodzenia
**Ang Nima Sherpa** (t.VII, s.74): brak portretu oraz pełnej daty i miejsca urodzenia
**Ang Norbu (Sherpa)** (t.VI, s.27): brak miejsca urodzenia
**Ang Pasang** (t.VI, s.27): brak portretu oraz pełnych dat i miejsc urodzenia i zgonu.
**Ang Pemba** (t.VI, s.27): brak portretu oraz pełnych dat i miejsc urodzenia i zgonu.
**Ang Phurba** (t.VI, s.27): brak portretu oraz pełnych dat i miejsc urodzenia i zgonu.
**Ang Phuri** (t.VI, s.27): brak portretu oraz pełnych dat i miejsc urodzenia i zgonu.
**Ang Phutar** (t.VI, s.27): brak portretu oraz pełnych dat i miejsc urodzenia i zgonu.
**Ang Rita** (t.VI, s.27): brak pełnych dat i miejsc urodzenia i zgonu.
**Ang Temba** (t.VI, s.27): brak pełnej daty i miejsca urodzenia
**Ang Tharkay** (t.VI, s.28): brak pełnej daty urodzenia
**Ang Tsering** (T.VI, s.28): brak pełnej daty urodzenia
**Anthamatten, Martin** (t.VII, s.74): brak portretu

# Skąd się wzięły „morskie oka” w górach?

**Nazwa najsłynniejszego jeziora tatrzańskiego cieszy się tak wielką popularnością w Polsce, iż bywa przenoszona na inne, także sztuczne zbiorniki wodne. Stąd mamy np. Morskie Oka w Warszawie, Wrocławiu, a nawet w Gdańsku. Zarazem jednak jest to starodawne ludowe miano wielu jezior w górach i w niższych położeniach. Określenie „morskie oka” pierwotnie dotyczyło w ogólności stawów w Tatrach, jak też w różnych pasmach Karpat, a nawet w Alpach i innych, nie tylko górskich, okolicach Europy. Odnosiło się także do źródeł. Jeszcze w XIX wieku był to dość szeroko rozpowszechniony zbiorczy termin topograficzny, który dopiero wtórnie przeistaczał się w nazwy własne poszczególnych jezior, niekiedy noszących również inne, indywidualne miana. Spróbujmy wyjaśnić jego pochodzenie i znaczenie.**

Tatrzańskie Morskie Oko, wedle Józefa Nyki (1956), wzmiankowane było pod tą nazwą w dokumentach, poczynając od roku 1602, a nieco wcześniej, bo od 1589 roku, jako *Rybi Staw*. Już pierwszy uczony badacz, który dotarł w jego okolice i napomknął o nim w druku, zwrócił był uwagę na dualizm nazewniczy. Belsazar Hacquet (1796) relacjonuje, że w drodze powrotnej z Krywania ujrzał jeziora „*Pienti Stawi* i *Ribia*. Jedno z nich nazywane jest Morskim Okiem (*Meeraug*), a opowiastki, które o nim krążą, nie różnią się od bajd powtarzanych w innych okolicach górskich, przeto nie zasługują na wzmiankę”. Pozwolę sobie nie zgodzić się z tym ostatnim stwierdzeniem szacownego profesora.

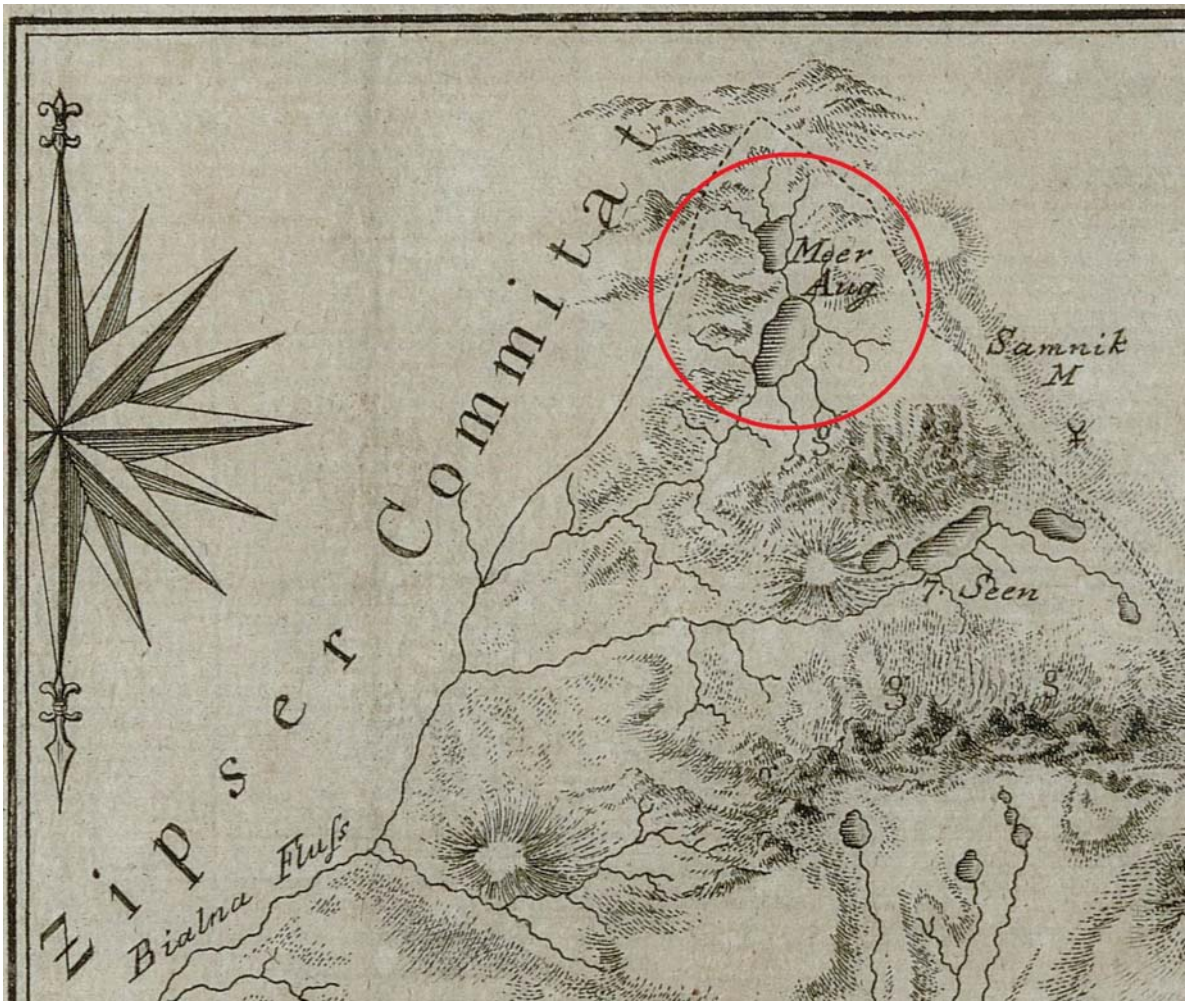


Ryc. 1. Morskie Oko i Pięcistawy na mapce B. Hacqueta (1796)

Na szkicowej mapce północnej strony Tatr wpisał on nazwę *Meer Aug* między Morskim Okiem a Czarnym Stawem (ryc. 1). Odwzorowanie hydrografii tej okolicy – podobnie jak Pięciu Stawów – zadziwia szczegółowością. Dostrzegł to dopiero znakomity tatroznawca Józef Nyka (2008), suponując, że autor opierał się na jakimś nieznanym nam dziś podkładzie geodezyjnym. Zapewne był to *Plan Sectionis seu Revir Białczensis* z 1787 roku (w zbiorach Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem). Geometra Jan Wnentowski naniósł na nim polskie nazwy: *Czarny Staw* i *Morskie Oko* – w takim, jak dziś, porządku. W XIX wieku nie był on jeszcze utrwalony.

Spiskoniemiecki badacz Tatr, Christian Genersich (1807), zwiedziwszy Morskie Oko, jego nazwę przypisał Czarnemu Stawowi pod Rysami, którego miano przeniósł z kolei na wpół fantastyczny staw „za Mnichem". W ślad za nim podążył Stanisław Staszic (1810, 1815), sytuując ów fikcyjny Czarny Staw „pod Liptowskimi Murami". Być może obaj pomieszali wieści o jeziorze tej samej nazwy z Doliny Pięciu Stawów. Wykluczone, aby chodziło o któryś z Ciemnosmreczyńskich Stawów, jak mylnie uważał Józef Szaflarski (1972).

Niżniemu z nich (fot. 2), zwanemu niegdyś *Pribiliner See* (od wsi Pribylina, do której należał), przypisywano bezdenną głębokość i podziemne połączenie z morzem, a także uwarunkowane tym pływy wód, objawiające się

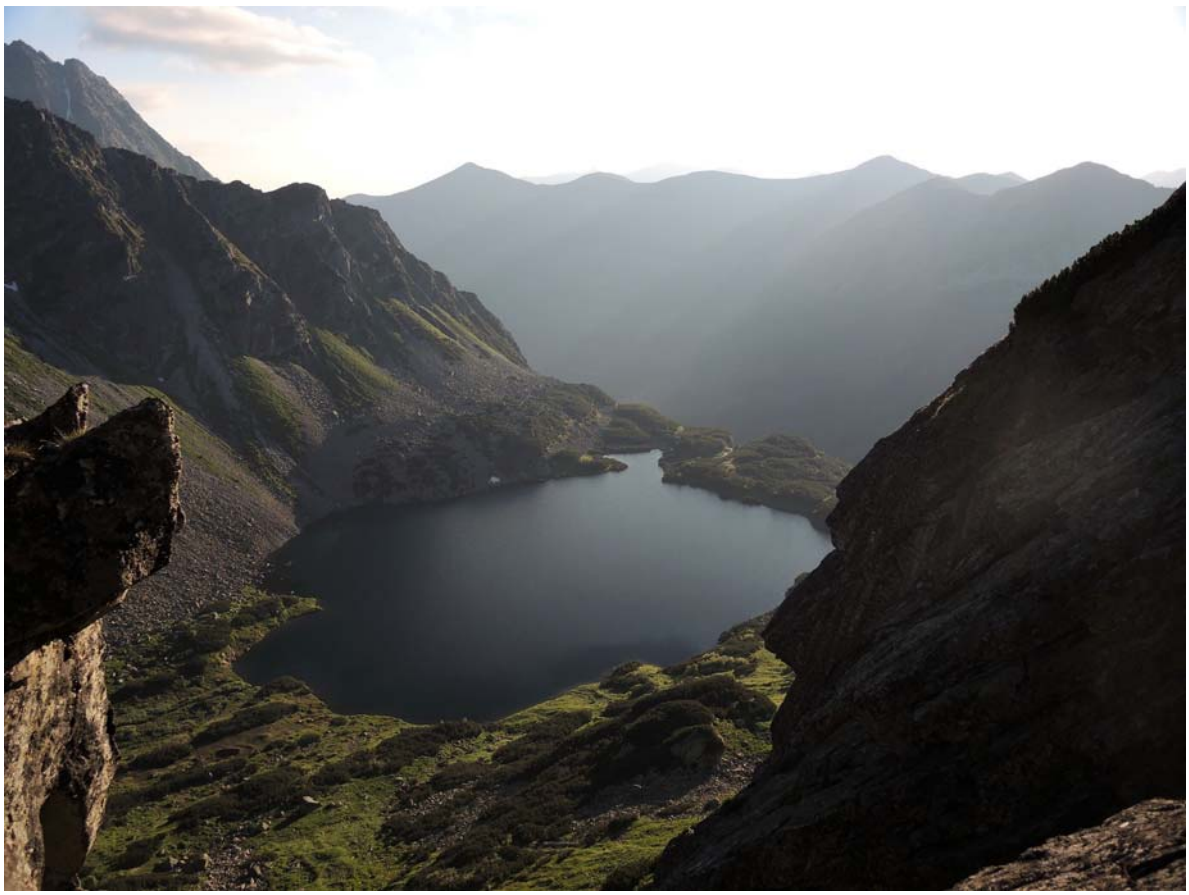

Fot. 2. Ciemnosmreczyński Staw Niżni ze Szpiglasowego Wierchu. Fot. T. Borucki

powodziami. W połowie XVIII wieku zweryfikowano to empirycznie. W tym celu miejscowy ziemianin Georg Pongrátz wykonał pierwszy w Tatrach pomiar głębokości jeziora, a w 1751 roku Jakob Buchholtz młodszy (1787) spędził noc u jego brzegów, prowadząc całodobowe obserwacje wahań lustra wody.

Trzeba bowiem wiedzieć, że funkcjonowała jeszcze wówczas w oficjalnej nauce teoria globalnego podziemnego obiegu wody między morzami i oceanami a źródłami i akwenami śródlądowymi, sformułowana przez jezuickiego erudytę Athanasiusa Kirchera (1664–1665). Mniemał on, iż we wnętrzu Ziemi istnieją *hydrophylacia* – ogromne kawerny w masywach górskich (Alpach, Andach), będące zbiornikami wody, która podziem-

nymi kanałami dostawała się tam z mórz i oceanów, zasysana przez wiry i wypychana ku górze pod ciśnieniem na skutek pływów morskich, wywołanych przyciąganiem Księżyca. Z *hydrophylaciów* woda wydobywała się rozgałęzioną siecią kanałów na powierzchnię Ziemi, tworząc źródła i jeziora, nawet na najwyższych górach (ryc. 3). Wedle Johana Herbiniusa (1678), takim potężnym wirem morskim, wciągającym żaglowce i wieloryby, był Malstrom przy Lofotach. Z kolei badacz artezyjskich wód Modeny, Bernardino Ramazzini (1691), poszukiwał zasilającego je podziemnego zbiornika w górotworze Apenninów.

Ryc. 3. Globalny obieg wód z morskimi wirami i *hydrophylaciami* we wnętrzu gór, wedle A. Kirchera. Rycina z jego dzieła *Mundus subterraneus* (1664–1665)

Wobec tego nie powinny nas dziwić rewelacje staropolskich encyklopedystów o źródle czy też stawie Morskim Oku na Babiej Górze, bądź w Tatrach, jak np. wzmianka jezuity Gabriela Rzączyńskiego (1721) o wirze na środku tego jeziora, wciągającym w głąb wszystkie przedmioty unoszące się na powierzchni. W 120 lat po nim poeta-geograf Wincenty Pol na przestrzeni od okolic Lwowa do *nomen omen* Okońska natrafił na szereg źródeł zwanych przez lud *morskimi oknami* oraz *bezodniami* (bo „bez dna”), niekiedy z pochłaniającymi wirami, bądź nurtami wyrzucającymi wszelkie pogrążane przedmioty, tak iż nie sposób było sondować je drągami, a na-

wet w nich nurkować; niektóre miały postać małych jeziorek, inne tworzyły bagna, rozlewiska jeziorne i stawy. Również w Krakowskiem istniały takie „*morskie oka* bezdenne" – jak odnotował Oskar Kolberg (1874). – „Z tych źródlisk, *morskich oków*, woda spod ziemi i skał wychodzi". Jeszcze sto lat później w Beskidzie Wyspowym górale prawili Tomaszowi Nowalnickiemu o stawkach na Lubogoszczu i na Kamionnej, że są to „morskie oka" dające wodę całej okolicy, zasilające wszystkie źródła i studnie, bo łączą się pod ziemią z morzem. Z nim również było połączone „żyłą podziemną" Jezierskie Jezioro w Magurze Spiskiej. *Żyłą od Morskiego Oka* zwali też górale wodną rozpadlinę w pienińskich Zielonych Skałkach.

Staszic (1810, 1815) przytoczył zasłyszane u Podhalan „liczne gminne wieści" o grasujących w głębinach dzisiejszego Morskiego Oka wielkich rybach, tudzież potworach wyrzucających fontanny wody i porywających pasterzom owce i kozy. *A propos* Czarnego Stawu mówili mu „o tym oku morskim, że jest niezgruntowane, że wody jego mają podziemne swoje połączenia z morzem", że wznoszą się i opadają. Przyczynę tego zjawiska, „które tutejszych góralów tak zadziwia", objaśnił racjonalnie nawalnymi ulewami i roztopami śniegów, wywołującymi nagłe wezbrania wód, tak iż „w całej szerokości na kilkaset stóp przewalając się, robią widok ogromnej rzeki, na kilka stóp wysoko i szeroko lecącej po skałach w Rybie Jezioro". Takie gwałtowne wylewy Czarnego Stawu zdarzają się także współcześnie. Gigantyczna kaskada na jego progu powstała podczas wielkiej powodzi w 1997 roku.

Tak więc na początku XIX wieku „morskooczne" wątki legendowe dotyczyły obu tych jezior i do każdego z nich z osobna odnosiło się ludowe określenie „morskie oko", pojmowane z czasem przez przybyszów jako nazwa własna. Wedle Schernera (1875), górale nazywali *Morskim Okiem* Rybi Staw, bądź „oba jeziora wspólnie". Że rozróżniano je przymiotnikowo na *Wielkie-* i *Małe Morskie Oko*, wzmiankowali Schmüdl (1835) i Mehofer (1840). Tak jest do dzisiaj w słowackim Wyhorlacie (*Morskie Oko* i *Małe Morskie Oko*) oraz w karyntyjskich Saualpe (*Großes-* i *Kleines Meerauge*), gdzie lud również wierzył w łączność górskich jezior z morzem.

Ludwik Zejszner (1844) dostrzegł związek znaczeniowy nazwy *Morskie Oko* z owymi przesądami. Ale upatrywał go też w podobieństwie ciemnych luster jezior w Tatrach do oczu, bądź ich szmaragdowo-zielonej toni, błękitniejącej ku powierzchni – do wód Adriatyku. Na dalmatyńskie wybrzeże, jak przypuszcza Stanisław Eljasz-Radzikowski (1897), mogli docierać górale z Podhala handlujący płótnem na żagle. Z tym właśnie akwenem wiąże się najpopularniejsza bodaj „morskooczna" legenda, po raz pierwszy podana w druku przez Ewerysta Kuropatnickiego (1786), acz bez wymienienia nazwy jeziora w Tatrach. Miały w nim rzekomo wypłynąć szczątki zatopionego na Adriatyku statku wraz ze szkatułą kosztowności, którą – po wyłowieniu przez górala – rozpoznał ocalały właściciel-rozbitek, przybywszy akurat w tatrzańskie okolice. Ponoć nawet posłano „te wielkie belki" królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, ten rozkazał zaś wywiesić je na Zamku w Warszawie na widok publiczny, jako *curiosum*, o czym opowiadała Zejsznerowi (1849, 1852) „osoba godna wiary".

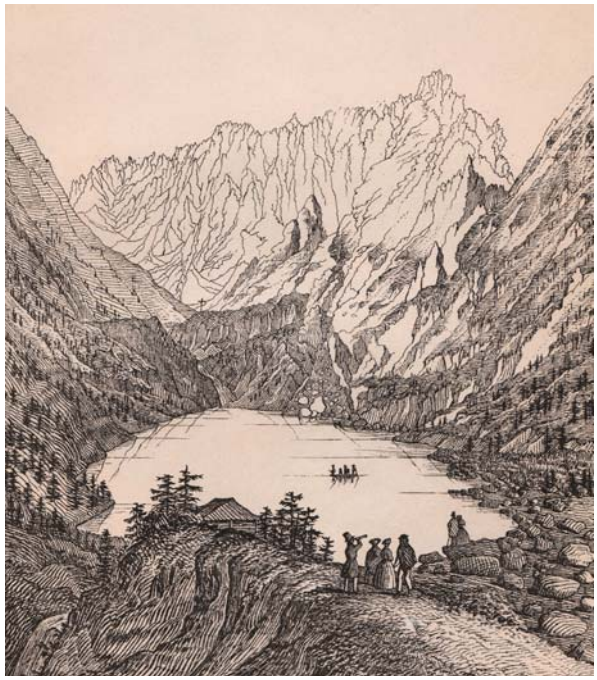

Morskie Oko. Rysunek z natury (1851) i ryt. (1860) B. Z. Stęczyński

O znajdywaniu okrętowych szczątków na jeziorze w Tatrach, zwanym *oculus maris*, napomykał już jezuita Márton Szént-Iványi (1689, 1691). Pierwsza jego wzmianka na ten temat nie dotyczy jednak Morskiego Oka, lecz Zielonego Stawu Kieżmarskiego, do którego odnosi się wiadomość (powtórzona zapewne za *Kroniką lewocką* Haina) o katastrofalnym wylewie powodziowym, jaki spustoszył Spisz w 1662 roku. Przywołał ją też w tym kontekście spiski pastor Andreas Jonas Czirbesz (1772), potwierdzając ludową proweniencję nazwy *Morskie Oko* dla tego jeziora w związku z legendarnymi znaleziskami resztek rozbitych statków. Dopuszczał możność wnioskowania z tego o podziemnym styku z morzem. „Który jednak rozsądny przyrodnik w to uwierzy?".

Tomasz Nowalnicki (1974) tłumaczył tę legendę zjawiskiem wyrzucania z jeziorek osuwiskowych, niekiedy po wielu latach, potrzaskanych pni drzew, które tkwiły w dnie, zmieszane z masą zwietrzeliny fliszowej. Zaryzykował nawet przypuszczenie, czy legendarne „morskie oka” nie wywodzą się z Karpat fliszowych? Jak się okazuje, w Tatrach istnieje jednak „podwodny las” złożony z drzew poznoszonych przed wiekami przez lawiny śnieżne na powierzchnię lodu pokrywającego Morskie Oko i pozatapianych na dnie. Jeden z nurków penetrujących jego głębiny, Piotr Stós (1996), relacjonuje: „Kiedy po raz pierwszy w niebieskawym półmroku panującym na głębokości 30 metrów natrafiliśmy na kilkunastometrowe »maszty« pozbawionych gałęzi, świerkowych pni, byliśmy skłonni legendzie tej dać wiarę”. Co prawda górale oraz dawni podróżnicy i badacze nie wiedzieli, co kryją wody Morskiego Oka, ale mogli przecie znajdować kawałki zmacerowanego drewna wyrzucone z jego toni wskutek wstrząsów sejsmicznych. Czyżby to było podłożem legendowych przekazów o „belkach” z morskich wraków?

Jak ustalił Rafał Mikler, jest to zapożyczeniem z Portugalii, gdzie z takiego właśnie fenomenu słynęło (w literaturze od połowy XVI wieku) jezioro w górach Serra da Estrêla, opisane beletrystycznie przez znanego nam skądinąd z Tatr podróżnika-fantastę Teodora Tripplina (1850), a nawet wzmiankowane w *Moby Dicku* Hermana Melvilla (1851). W Karpatach słowackich odnotowano ten wędrowny wątek poza Tatrami we wsi Motyčky koło Starych Hor (Morskie Oko zasypane w 1746 roku) oraz dla Jeziorka Puchmajerovej w Magurze Orawskiej (zwanego w Zazrivej *Morskim Okiem*). Pojawia się on nawet w Rosji (Bezdenne Ozero koło Sołniecznogorska w rejonie moskiewskim, opisane przez poetę Aleksandra Błoka, którego sławny teść Dmitrij Mendelejew ponoć bezskutecznie próbował zgruntować je stumetrową liną).

Podróżujący po Tatrach i Beskidach Ludwik Pietrusiński (1845) fantazjował, jakoby pewien góral z Podhala opowiadał mu legendę, jak to „król polski kazał wykuć spust przez Pieniny i spuścić wody” z morza zalewającego niegdyś całą Kotlinę Nowotarską, po którym „jesce dotąd w Tatrach z 50 jezior czyli óc pozostało”. Walery Eljasz (1884) uznał, że rozlewisko takie rzeczywiście istniało w epoce lodowcowej, a stawy w Tatrach człowiekowi jaskiniowemu „mogły się łatwo wydawać cząstkami morza łączącego się pod ziemią z jeziorami”. Tradycja „morskooczna” sięga więc w głąb pradziejów ludzkości, bo nie sposób inaczej wyjaśnić, jak mieszkańcy stałego lądu, z dala od morza, nieznający jego żywiołu, skojarzyli z nim wysokogórskie jeziora, „z czego ostatecznie wysnuła się fantastyczna nazwa Morskiego Oka”.

Fot. 5. Morskie Oko w Wyhorlacie (Słowacja). Widok ze Snińskiego Kamienia. Fot. T. Borucki

Zignorował to geograf Józef Staszewski, utrzymując w słowniku nazw geograficznych (cztery wydania 1933–1959), że „baśń o związku z morzem jest wynikiem zmysłu geograficznego kolonistów” niemieckich na Spiszu. Zatem „*Morskie Oko* nie jest rodzimą góralską nazwą”, lecz rzekomo „powstałą pod wpływem Niemców spiskich”, jako zbiorcze określenie stawów w Tatrach (*Meeraugen*), używane też przez Niemców w Siedmiogrodzie dla jezior Karpat Południowych. Hipotezę tę przyjął bezkrytycznie Witold H. Paryski (1993), uznawszy *Morskie Oko* za „niewątpliwą kalkę” *Meerauge*. Jego zdaniem ten ludowy termin topograficzny „mógł się łatwo przenieść z jednego terenu na drugi”, albowiem „kontakty i związki między tymi dwiema grupami osadników niemieckich były bliskie i często rodzinne”. Z gwar niemieckich Spisza czy też Siedmiogrodu przeniknął do literatury – najpierw niemieckiej, a z niej do węgierskiej (*tengerszem*), a „nawet do pism XIX-wiecznych podróżników brytyjskich (*Eye of the Sea*) i francuskich (*Oeil de Mer*)”.

Termin ów pojawił się już jednak w 1689 roku u autorów węgierskich, a więc niespełna sto lat wcześniej niż u Niemców. W XIX wieku stał się u nich geograficznym określeniem jezior wysokogórskich, zwłaszcza typu karowego, ale nie tylko. Tak np. nazwę *Meerauge* nosi polodowcowe jeziorko wytopiskowe w Bodentalu (zwane przez Słoweńców *Jezerce*), a w XIX wieku określano tak również nizinne jeziorka w Meklemburgii i na Pomorzu. Z czasem było kalkowane z niemieckiego w innych językach, np. w rumuńskim termin *ochiurile de mare* dotyczy m.in. jeziorek Retezatu i Gór Rodniańskich, gdzie „morskooczna” tradycja pozostaje do dziś żywa. W relacjach podróżniczych obcokrajowcy nierzadko podawali jednak tę nazwę z autopsji. Tak na przykład François S. Beudant (1818) pisał o Morskim Oku w Wyhorlacie (fot. 5), iż jego miano wzięło się z wiary w łączność z morzem, a było to powszechnym mniemaniem o wielu izolowanych jeziorach. Często miał okazję słyszeć, nawet we Francji, opowieści o przypływach i odpływach, które ponoć na nich obserwowano, czy o potworach z głębin wywracających łodzie. Zastanawiał się, „czemu przypisać te wszystkie wymysły, które znajduje sę w tylu krajach?”.

Fot. 6. Synewirskie Ozero – Morskie Oko w Gorganach (Ukraina). Fot. T. Borucki

Wyjaśnił to Anglik James Bryce (1879), zwiedziwszy Morskie Oko w Tatrach. Jego nazwę odnosił do Czarnego Stawu, o którym prawili mu górale, że burzy się falami nawet wtedy, gdy nie ma wiatru, co musi być wywołane przez sztorm szalejący równocześnie na Bałtyku czy Atlantyku. Wiązał to „dziwaczne mniemanie” ze znaczną głębokością jeziora, uznawanego przez lud za bezdenne. Jego zdaniem, wywodziło się to z pradawnych wierzeń, jakoby ziemia unosiła się na otaczającym ją zewsząd oceanie, z którego głębin Homer wyprowadza wszelkie źródła, potoki i rzeki. Bryce upatrywał w tym „ostatni ślad najstarszych kosmogonii”. Pojawiły się one w starożytnej Mezopotamii już w IV tysiącleciu p.n.e. u Sumerów.

Jeszcze w drugiej połowie XIX wieku utrzymywały się na Huculszczyźnie relikty dualistycznej kosmogonii akwatycznej. Objaśniała ona powstanie świata jako efekt współdziałania, ale i współzawodnictwa dwóch demiurgów: Boga i Szatana. Wedle jednego z podań zebranych przez Oskara Kolberga (1889) na Pokuciu, po stwórczym akcie Bóg spoczywał na unoszącym się na morzu „placku” Ziemi, w którym Czort powybijał i powydzierał liczne mniejsze i większe dziury, żeby go zatopić. Woda spływała jednak do morza, tworząc rzeki oraz potoki. Z małych dziur do dziś tryskają źródła, a w większych stoją jeziora. W jednym z nich przepadł Czort. Góry powstały z wydartych przez niego kęsów „placka” Ziemi, który nadal unosi się na morskiej toni.

W Karpatach ukraińskich wciąż żywa jest ustna tradycja „morskooczna”. Słynie z niej Jezioro Synewirskie na Zakarpaciu (fot. 6). Wprawdzie nazywanie go *Morskim Okiem*, podobnie jak jeziorka osuwiskowego koło Jałowiczory w dolinie Białego Czeremoszu *Bukowińskim* (*Morskim*) *Okiem*, okazuje się być kalką z niemieckiego *Meerauge*. Nadal jednak wierzy się tam w jego bezdenność i podziemne połączenie z Morzem Czarnym. Zetknąłem się z tym również u Hucułów w dolinie Czarnego Czeremoszu w odniesieniu do jeziorek czarnohorskich, zwłaszcza Mariczejki z *wiknami* („oknami”) w dnie, z których wybija woda. Katastrofalną powódź w tej dolinie z 1927 roku wójt Żabiego Jurij Guljuk (2004) tłumaczył sobie „wyciśnięciem” wody z morza do

Fot.7. Rohacki Staw Niżni – Orawskie Morskie Oko. Widok z Rohaczów. Fot. T. Borucki

źródeł przez „ciśnienie atmosferyczne", wskutek czego mogły powstać nowe jeziora. We wsiach u podnóży Gorganów i Czarnohory mówiono Piotrowi Zającowi (1999), że wielką powódź na Zakarpaciu w 1998 roku wywołało domniemane zaniknięcie górskiego jeziora zwanego *Niesamowitym* bądź *Morskim Okiem*, czy też zmącenie jego wody.

Podobny przesąd został odnotowany w Tatrach w związku z Orawskim Morskim Okiem, czyli największym z Rohackich Stawów (fot. 7). Również im górale przypisywali łączność z morzem, o czym wzmiankował szwedzki botanik Goran Wahlenberg (1814). W roku 1858 miejscowy pasterz błagał Miklósa Szontagha, aby nie wrzucał kamieni do tego jeziora, bo „wynurzą się z głębin Panny Wodne i sprowadzą burzę na cały kraj" – cytuje jego relację Józef Nyka (1997), zdumiony „pełną analogią w przesądach związanych ze słynnym Pilatusseechen w Berner Voralpen w Szwajcarii. A może (…) Szontagh spróbował przenieść na grunt Tatr alpejską legendę?".

Niewykluczone, ale pokrewne wątki podaniowe, o iście katastrofalnych skutkach zakłócania spokoju „duchowi jeziora", krążyły wszak wokół Smreczyńskiego Stawu i Toporowych Stawków w Tatrach, czy Jezierskiego Jeziora. Jak zauważył Rafał Mikler, są one rozpowszechnione również w Austrii; zawiera je też *Simplicissimus Teutsch*, powieść łotrzykowska Hansa Jakoba Christoffela von Grimmelshausena (1669), której bohater odbywa podróż do środka ziemi z „duchem jeziora" Mummelsee, „niezgłębionego i położonego na jednej z najwyższych gór" Schwarzwaldu.

Natrafiwszy na „morskie oka" w leksykografii serbsko-chorwackiej i w słoweńskich Alpach Julijskich, Wacław Fedorowicz (1975) i Józef Nyka (1998) wysnuli przypuszczenie, iż mogły być przyniesione w Karpaty Zachodnie przez Wołochów z Bałkanów. Termin ten ma jednak o wiele szerszy zasięg geograficzny (aż po Sierrę Nevadę w Hiszpanii, skąd *ojo de mar* popłynęło w Nowy Świat, do Meksyku i Paragwaju), a także dużo starszą proweniencję niż datowane dopiero na stulecia XIV–XV tzw. „wędrówki wołoskie" w Karpatach.

Tradycja podziemnej styczności jezior z morzem jest śladem rozpowszechnionego niegdyś wśród wielu ludów, archaicznego wyobrażenia, jakoby ziemia unosiła się na praoceanie. Począwszy od biblijnego króla Salomona, aż po XIX-wieczne poglądy przyrodoznawcze owo arcyciekawe zagadnienie prześledziła Janina E. Piasecka (1996), konkludując, iż nazwa Morskiego Oka w Tatrach prawdopodobnie jest reliktem „najstarszej myśli wyprowadzającej wody z morza do jezior". Należy to uogólnić na wszystkie „morskie oka" w Tatrach, jak i w innych górach Europy i świata.

*Tomasz Borucki*

Artykuł stanowi wyciąg z obszerniejszego opracowania, realizowanego we współpracy z Rafałem Miklerem.

## Z NASZYCH KOLEKCJI

Oto plakaty z motywem Matterhornu, oryginalne, zdjęte ze ściany i zeskanowane. Autorem pierwszego, *Zermatt Matterhorn* z roku 1908, jest szwajcarski artysta Emil Cardinaux (WEGA Suplement, t. VII, str 101), który zajmował się różnymi rodzajami sztuki, ale międzynarodową sławę przyniósł mu m.in. ten plakat. Cardinaux uważany jest za pioniera szwajcarskiego plakatu artystycznego. Stworzył ponad 130 plakatów – liczne z motywami wysokogórskimi, jak np.: *Jungfrau-Bahn* (1910) czy *Weil- und Wetterhorn* (przed 1909).

Autorem drugiego plakatu (z 1898 roku) jest Anton Reckziegel (27.07.1865 – 20.10.1936) artysta malarz, pejzażysta, pochodzący z Jablonecu w Czechach, od 1892 działający w Szwajcarii, tworzący plakaty turystyczne. Carl Annen jest autorem trzeciego plakatu (z 1899 roku).

*Małgorzata Kiełkowska*

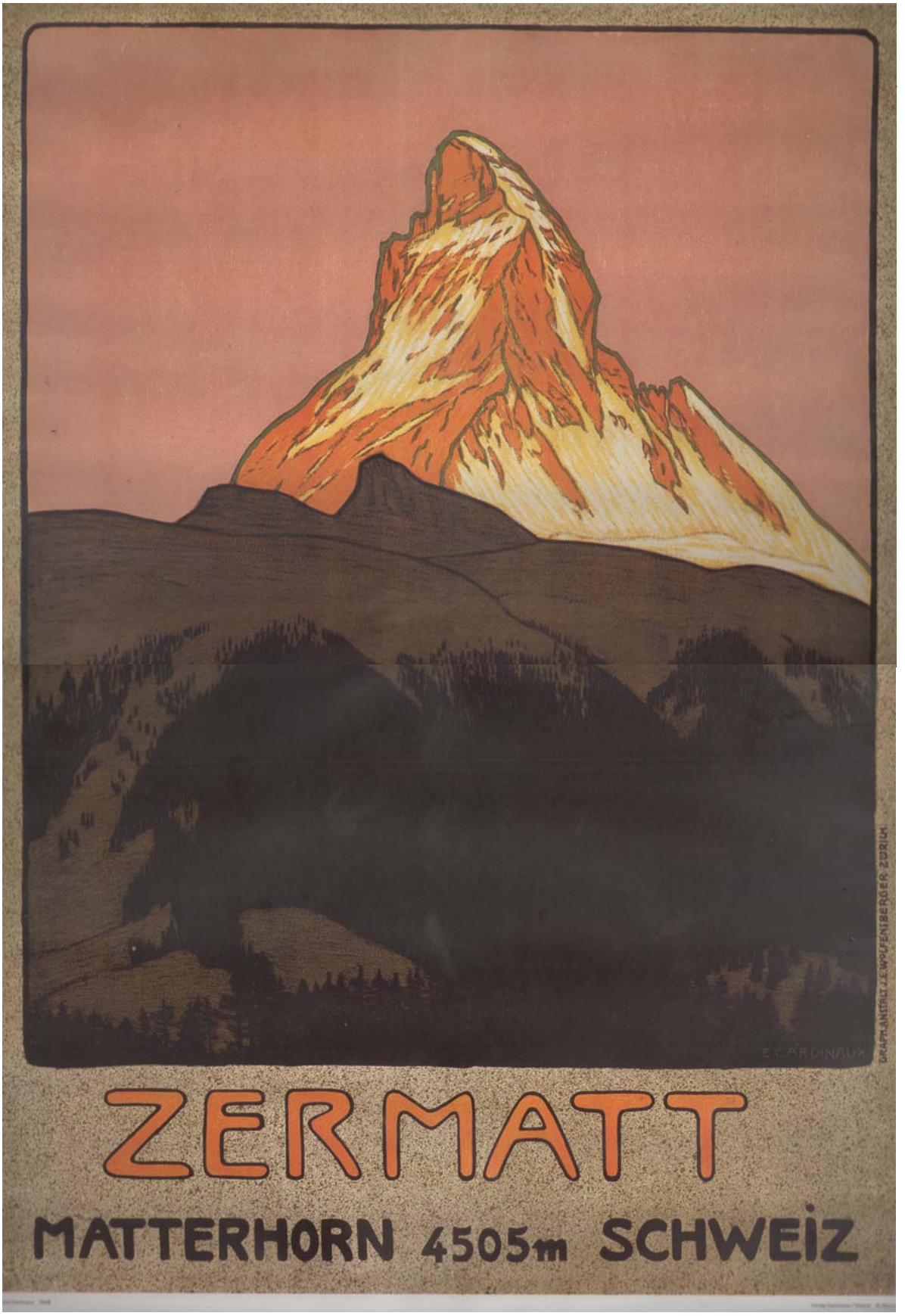
E. CARDINAUX
GRAPH. ANSTALT J. E. WOLFENSBERGER ZÜRICH
ZERMATT
MATTERHORN 4505m SCHWEIZ

# ZERMATT

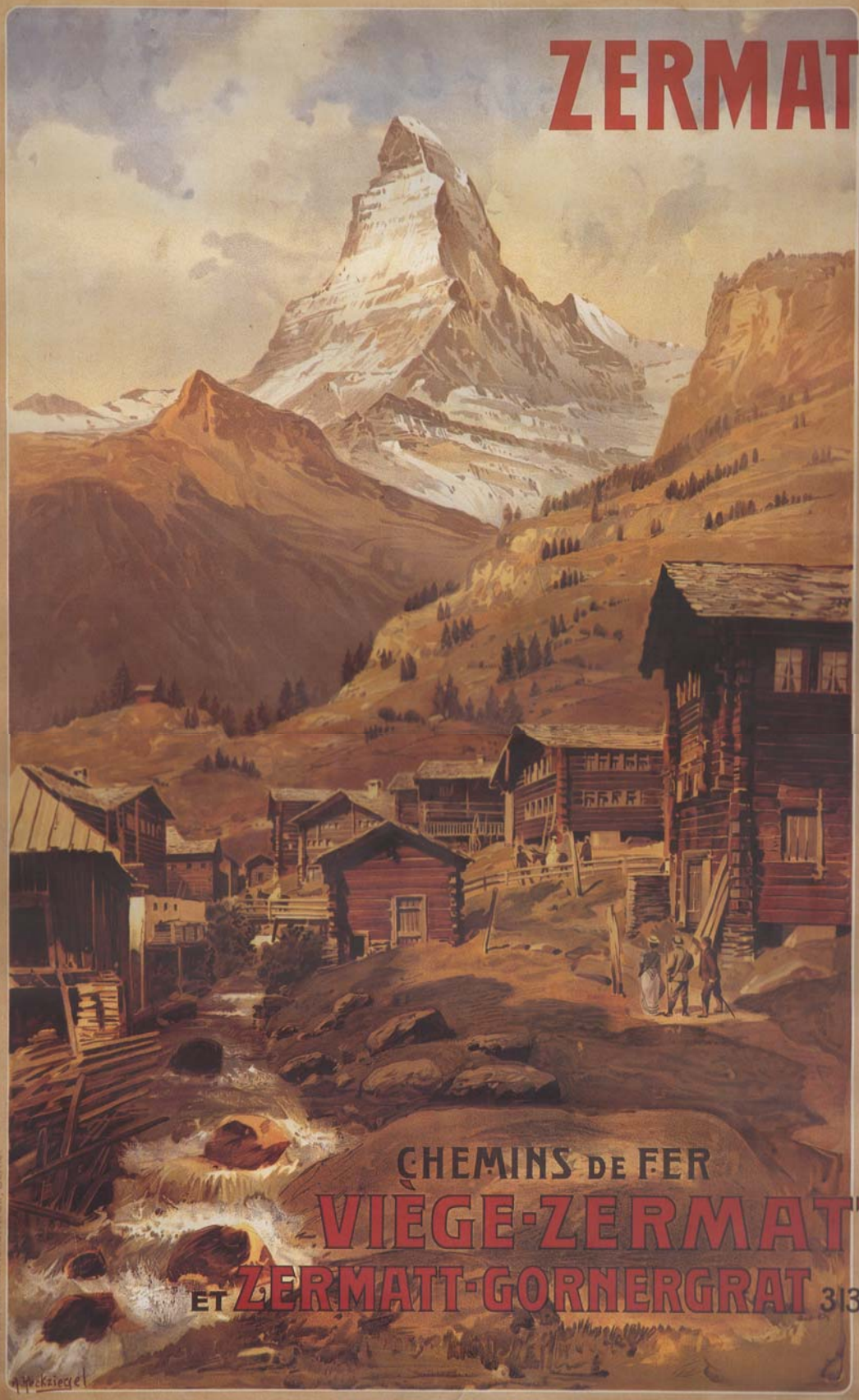

CHEMINS DE FER

## VIÈGE-ZERMATT

ET ZERMATT-GORNERGRAT 3136 m.

Lith. Kunstanstalt HUBACHER & Cie. Berne.

GORNERGRAT
ZERMATT
Fahrplan. Saison 1899.
Bergfahrten:
Zermatt ab 6.30 8.26 10.08 2.06 4.00
Riffelalp „ 7.12 9.08 10.42 2.48 4.42
Riffelberg „ 7.38 9.34 11.08 3.13 5.08
Gornergrat an 8.00 9.56 11.36 3.35 5.30
Thalfahrten:
Gornergrat ab 8.17 10.45 1.10 4.30 6.15
Riffelberg „ 8.37 11.12 2.19 5.04 6.38
Riffelalp „ 9.03 11.39 2.43 5.31 7.05
Zermatt an 9.45 12.14 3.20 6.08 7.40
Réseau des Chemins de Fer
Jura-Simplon
ART. INSTITUT ORELL FÜSSLI-ZÜRICH

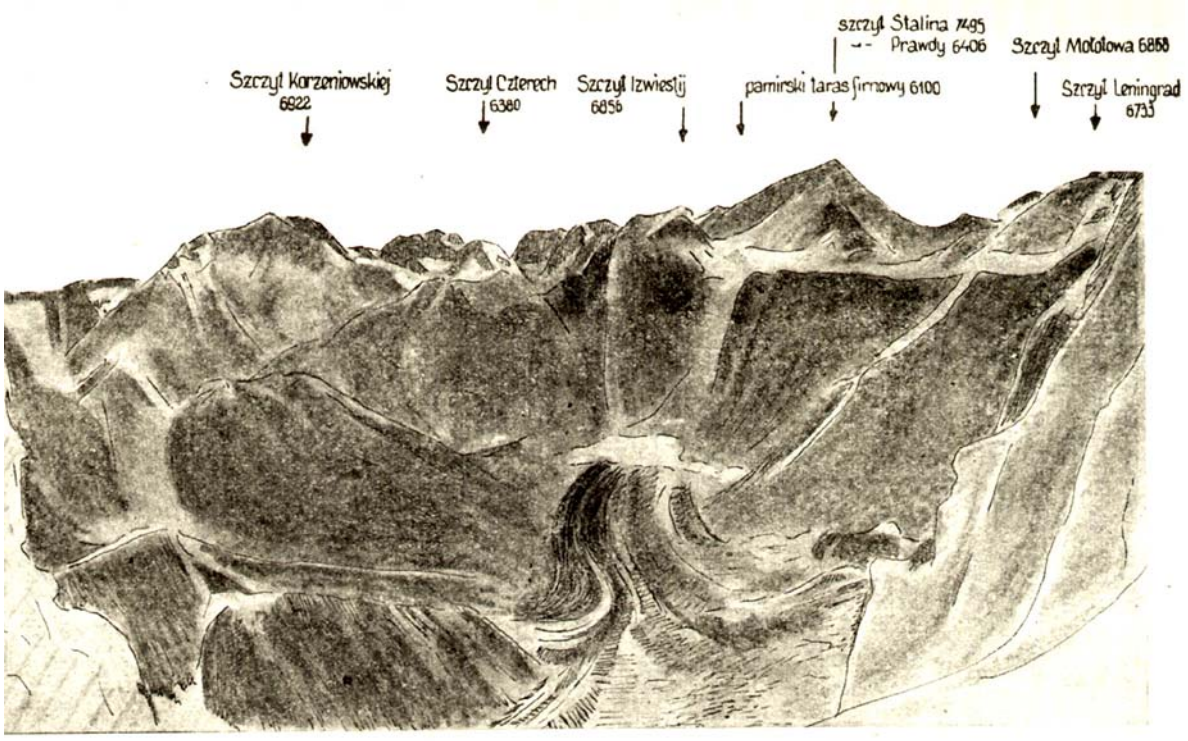


Widok z zachodu na Szczyt Stalina (7495 m) i jego otoczenie.

## LINKI

www.albumwypraw.waw.pl
www.nyka.home.pl;
www.taterniczek.com
www.goryonline.com;
www.taternik.org
http://goryksiazek.pl;
http://lojanci.org/main.php
http://www.kw.warszawa.pl/echa-gor
www.wspinanie.pl; www.portalgorski.pl
www.mountainportal.com;
http://asian-alpine-e-news.com/
www.mountain.ru
MCADD-PAHAR | Mountains of Central Asia Digital Data Set by ...
www.ukclimbing.com; http://pza.org.pl,; www.stapis.com.pl
http://www.angeloelli.it/index.htm

Na ostatniej stronie grafika E. Platza: *Komin na Stabelerturm*.

ERNST PLATZ